Zeszyty TŁUMACKIE

WARTAŁ 2001 ISSN: 1426-4129 Nr 2 (

mo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodr
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

K 1825 r.)

ch 28-29 października 2000 roku odbyły się uroczyste obchody 175 rocznicy śmierci wielkiego poet enia, wybitnego Syna Ziemi Pokuckiej Franciszka Karpińskiego. Dwudniowe uroczystości polsko- były się w Stanisławowie, Kołomyi i Otynii. We wszystkich kościołach Pokucia zostały odprawione za spokój duszy poety. Poświęcono 3 tablice pamiątkowe: w kościele parafialnym pw. Chrystusa K wowie, w kościele pw. Loyoli w Kołomyi oraz w kościele Wniebowzięcia NMP w Otynii gdzie pośw blicy nagrobnej ojca poety Andrzeja Karpińskiego. Głównymi organizatorami byli prof. Ryszard Bry nota Polska, Emilia Chmielowa – Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie oraz wiele in nych, kościelnych i rządowych obu narodów.

Re

Kościół pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie

Tablica poświęcona F. Karpińskiemu w kościel w Stanisławowie

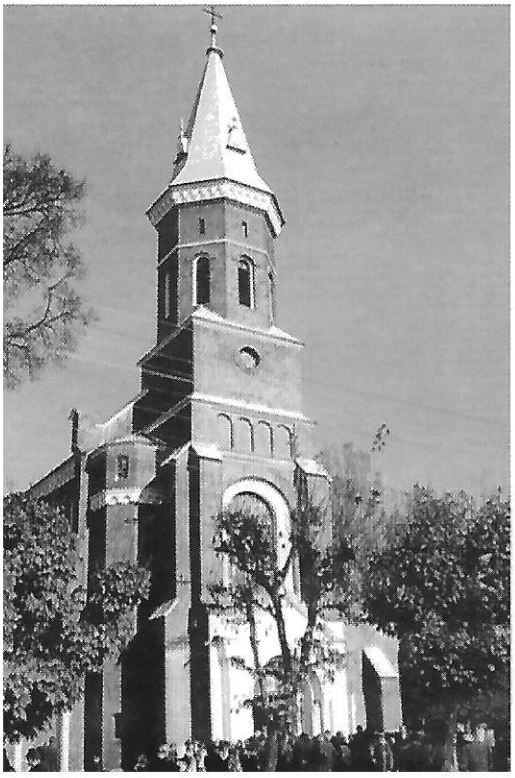

Tablica poświęcona F. Karpińskiemu w kościele pw. św. I. Loyoli w Kołomyi

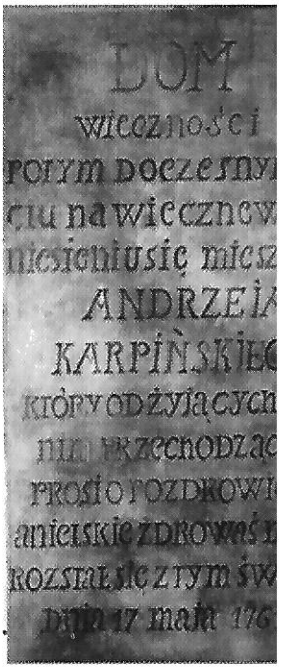

Tablica nagrobna poś

. 1741 r.)

›kazji przedstawiamy fotografie z Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warsza

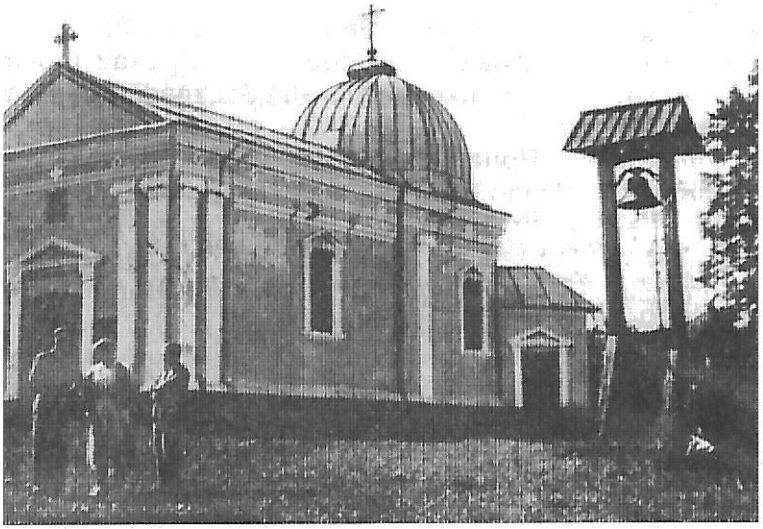

ściół rzym.-kat. z 1897 r. w Hołoskowie w pow. tłumackim (zniszczony po II woj. światowej)

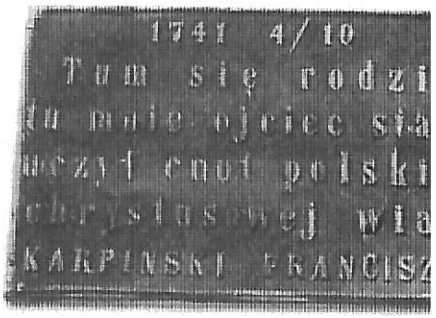

Tablica pamiątkowa z kościoła w Hołoskowie

Nagrobek z kościoła w Hołoskowie

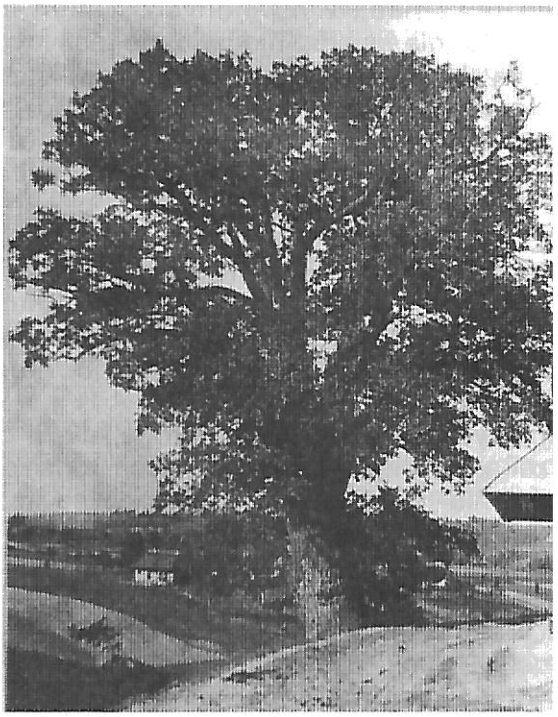

Dąb „Karpiński", zasadzony w pobliżu dworu, w którym mieszkali rodzice poety

;z wielki Krajan

_esław Jeżowski

przesadziłem w tytule z tym Naszym Kra-
? Sądzę, że nie za bardzo. Bo przecież
się w naszym, tłumackim powiecie, uczył
ezuickim kolegium w naszym wojewódz-
anisławowie, a potem we Lwowie, stolicy
archidiecezji, podzielił los ekspatriacji,

stawało się jego psychicznym odświeże
Poza tym również rodzina Karpińskiego p
wała w powiecie tłumackim. Jego najst
brat, Antoni, był wikarym w Chocimierzu
Tłumacza, potem w Ottynii. U niego przel
przy końcu swego życia rodzice, Rozalia
drzej Karpiński, który tam też zmarł. Sze
rodzeństwa poety także przez pewien cz
opuszczało okolic Tłumacza.

mnienia tłumaczanom, że nie byle jakich ludzi mieli wśród swoich krajan.

Chociaż Franciszek Karpiński herbu Korab, urodzony 4.X.1741 r., żył przed dwustu sześćdziesięciu laty, jego twórczość literacka nie umarła wraz z nim samym. Trafiła nawet pod przysłowiowe strzechy, o czym marzył Mickiewicz, i wciąż jest obecna wśród żywych Polaków. Przecież do dziś śpiewamy: Kiedy ranne wstają zorze. Wszystkie nasze dzienne sprawy, kolędę Bóg się rodzi, posługujemy się tłumaczeniem psalmów dokonanym przez Karpińskiego. I w tłumackim kościele podczas niedzielnych nieszporów śpiewało się: „Rzekł Pan do Pana mego swym głosem łaskawym, siądź mi przy boku prawym". Karpiński napisał wiele utworów o treści religijnej, które ukazały się drukiem szczególnie w zbiorze: Pieśni nabożne w 1792 r. One wszystkie odznaczają się doskonałą znajomością prawd wiary, szczerą pobożnością i poetyckim polotem. Swoją głęboką wiedzę o Bogu i Jego sprawach Karpiński zawdzięczał studiom teologicznym, które odbył w Kolegium jezuickim, uwieńczone stopniem bakałarza. Tam też, w 1765 r. zdobył tytuł doktora filozofii i nauk wyzwolonych. Żaden inny polski poeta, nie ksiądz, nie był i nie jest „dyplomowanym" teologiem. Arcybiskup lwowski, Wacław Sierakowski, namawiał uzdolnionego i pobożnego dwudziestoczterolatka, aby poświęcił się stanowi duchownemu. Jednak bez rezultatu. Serce Franciszka angażowało się często w ziemskie uczucia. Kochał się po kolei w kilku swoich wybrankach, nazywał je Justyny i skierował do nich swoje sielanki, jak „Tęsknota na wiosnę do Justyny", ale trwał w kawalerskim stanie. Pozostał w nim, zresztą, aż do końca swojego życia.

Romantyczne miłości swoją drogą, ale z czegoś trzeba było żyć. Na niebogatych rodziców i krewnych nie mógł liczyć, został więc po krótko trwającej pracy w sądownictwie, nauczycielem i wychowawcą dzieci ziemiańskich rodzin, podobnie jak współcześni mu utalentowani i wykształceni, ale ubodzy, młodzi ludzie. Był guwernerem u Cieńskich, Ponińskich. Pani wojewodzina Ponińska to druga „Justyna" zakochanego poety. Ciekawy świata pojechał do Wiednia w 1770 r.: zobaczył tam pełne splendoru zaślubiny córki cesarzowej Marii Teresy z delfinem francuskim, późniejszym królem Ludwikiem XVI. Jednak tęsknił za Polską, za swoim Pokuciem. Dał temu wyraz w utworze: „Tęskność do kraju". Jako potomek szlacheckiego rodu miał stałe pragnienie gospodarowania na swojej ziemi, bycia niezależnym panem u siebie. Toteż powróciwszy z zagranicy, zapewne dzięki protekcji pani Ponińskiej, wydzierżawił od jej powinowatego wieś Wierzbowice koło Horodenki. Po roku włodarzenia tam przejął dzierżawę Zabobruków w pobliżu Chocimierza w powiecie tłumackim, po nich Dobrowody.

Zajęcia wiejskie nie odciągały Karpińskiego od pracy piórem. Wszystko niemal, co dotąd napisał, ukazało się drukiem we Lwowie w 1780 r. w tomie zatytułowanym „Zabawki wierszem i przykłady obyczajne". Oprócz sielanek, jak najbardziej do dziś znana „Laura i Filon", znalazły się w nim rozprawy o treści patriotycznej, np. O nieszczęściach Ojczyzny i rzezi humańskiej, o tematyce moralnej – np. „Matka syna odprawia do obozu", „Trwoga człowieka bliskiego śmierci", oraz teologicznej; „Przeciwko deistom", „Szczęście, czyli opisanie raju".

Ponad guwernera, ponad dzierżawcę ziemskiego Karpiński uważał siebie za poetę. Ale jakaż przyszłość mogła czekać czterdziestoletniego już poetę i jego twórczość na zapadłych, galicyjskich wsiach, w dodatku w zaborze austriackim? Myśli więc o Warszawie, stolicy wolnej jeszcze części Polski, gdzie rezyduje król, mecenas artystów, poetów. Jak się tam dostać, jak dotrzeć do monarchy, zwrócić na siebie uwagę? Uznał, że musi postąpić tak, jak od dobrze mu znanej starożytności czynili to nieustosunkowani twórcy. Zręcznie pozyskać wpływowego protektora. Udało się to dzięki przybyciu na Pokucie, w odwiedziny do brata, oboźnego koronnego Witosławskiego, który opowiedział mu o generale podolskim, księciu Czartoryskim, lubiącym nauki i wspierającym uczonych i pisarzy. Karpiński za pośrednictwem Witosławskiego przekazał Czartoryskiemu swoje „Zabawki"... opatrzone odpowiednio zredagowaną dedykacją. W tym tomie wiersz „Sumienie" ofiarowany został przez autora biskupowi Adamowi Naruszewiczowi, personie w stolicy cenionej i bardzo wpływowej, parającej się nauką i pisarstwem. Plan Karpińskiego powiódł się całkowicie. Adresaci otrzymali jego książkę, a do ofiarodawcy wystosowali uprzejme pisma z uznaniem i podziękowaniem. Przy okazji swojej bytności w Galicji, Czartoryski spotkał się z poetą i zaprosił go do siebie do Warszawy. Wkrótce Karpiński został przedstawiony królowi przez Naruszewicza podczas jednego ze słynnych obiadów czwartkowych. Stanisław August okazał poecie życzliwość. Tak rozpoczął poeta życie w Warszawie.

Nie miałem zamiaru napisać jakiegoś skróconego życiorysusu poety z Hołoskowa. Karpiński, jak napisałem na początku tego artykułu, żyje w nas swoją twórczością. Prawie nie obejdzie się żadna procesja eucharystyczna na Boże Ciało, aby nie zaśpiewano jego pieśni: „Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba". Dorobek piśmienniczy Karpińskiego jest duży. Kilkakrotnie wznawiane wydania zbiorowe jego dzieł obejmują szereg tomów, wiele tekstów pozostało w rękopisie. Chodziło mi, jak zaznaczyłem, o przypomnienie jego postaci czytelnikom „Zeszytów Tłumackich" i zachęcenie ich, aby sięgnęli po liczne, naukowe opracowania jego twórczości, którą ja tylko zasygnalizowałem, a jeszcze lepiej po jego utwory poetyckie i prozatorskie. Wydaje mi się też, że byłoby rzeczą chwalebną, abyśmy w „Zeszytach" mogli czasem przeczytać coś, co wyszło spod pióra naszego sławnego Krajana. ❑

Wspomnienia z I wojny światowej

Przygody wojenne artylerzysty – kowala z Jezierzan (c.d.)

Mieczysław Zdanowicz

Zmagania frontowe

Wysłany zwiad pod linię frontu przeciwnika doniósł, że na całej długości pozycji frontowej panuje ożywiony ruch, co wskazywałoby, że wróg przygotuje ofensywę. Połączone dowództwo austriackie artylerii i piechoty postanowiło uprzedzić ofensywę przeciwnika. Przekonanie dowództwa austriackiego o przygotowywanej ofensywie włoskiej było mylące. Włosi mając dobrą pozycję strategiczną zachowali stan defensywny i wcale nie myśleli o ataku. Ożywienie, jakie zostało zaobserwowane przez zwiad, było poświęcone pracom umocnienia swojej linii frontowej: rozwijanie dodatkowych zasieków kolczastego drutu, budowaniu i maskowaniu stanowisk dla karabinów maszynowych i wykuwaniu skalnych wnęk na działa, miotacze min i granatów. Strategia ofensywy austriackiej została starannie opracowana w szczegółach. Przeciwnika dobrze umocnionego na dobrych pozycjach należało zaatakować z zaskoczenia. Ofensywę wyznaczono przed wczesnym świtem. W przeddzień ataku dokonano skrupulatnej inspekcji gotowości bojowej jednostek. W wyznaczonym dniu artyleria pierwsza wyruszyła, aby zająć zamierzone stanowiska szarym świtem. O świcie piechota miała rozpocząć szturm – atak zaczepny na dalekim prawym skrzydle, aby odwrócić uwagę przeciwnika i dać możliwość zajęcia stanowisk przez artylerię. Po zajęciu stanowisk baterie dział ciężkich miały dokonać silnego ostrzału przeciwnika by następnie piechota z lewego i prawego skrzydła mogła dokonać szturmowego ataku i bagnetami zdobyć okopy nieprzyjaciela.

Przemieszanie ciężkich dział było szczególnie uciążliwe, wręcz mordercze w realizacji. Wiosenne roztopy śniegu i ciągłe deszcze rozmiękczyły ziemię. Koła ciężkich dział grzęzły głęboko w błotnistym gruncie. Zaprzęgi konne zbryzgane lepiącym się błotem stale ustawały. Do wspomagania spowolnionego pochodu przystąpili artylerzyści. Jedni ścinali siekierkami gałęzie i konary drzew, układając je na błotnistej drodze przed kołami dział, pozostali z wytężonym wysiłkiem popychali działa mozolnie do przodu.

Nadszedł świt – piechota na prawym skrzydle rozpoczęła gwałtowny szturm – karabiny ręczne mausery i ciężkie karabiny maszynowe słały tysiące pocisków na zakoczonego przeciwnika. Przeciwnik na wzgórzu wciąż milczał. Piechota prawego skrzydła posuwała się stale do przodu. Nagle ze wzgórza przeciwnika ruszyła gwałtowna lawina ognia. Dobrze okopany przeciwnik miał znakomitą widoczność atakującej piechoty autriackiej, więc celnymi strzałami i seriami karabinów maszynowych dziesiątkował ją skutecznie. W tym czasie artyleria austriacka z nowych pozycji miała dokonać huraganowego ostrzału całego wzgórza nieprzyjaciela. Niestety, artyleria ugrzęzła w błocie w połowie drogi. Długa kawalkada dział oblepiona błotem przedstawiała niesamowity i żałosny widok. Artylerzyści zamiast posyłać ogniste pociski na pozycje wroga walczyli bezskutecznie z błotem. Zewsząd dochodziły siarczyste przekleństwa i złorzeczenia żołnierzy – Przeklęta wojna! – Za kogo ja tu walczę na obcej ziemi!? Jesteśmy tylko mięsem armatnim, jak rzeźne bydło! – Tak, jesteśmy „Kanonenfuter"! – Topiliśmy się w gównie, a teraz topimy się w błocie! – wielu żołnierzy myślało o dezercji z frontu, lecz była to najmniej przychylna chwila. Wuj Miarian śmiertelnie strudzony i cały zbryzgany błotem desperacko zapragnął zostać rannym. W bryzgach mazi i pary błotnej jawiły mu się obrazy gniazda rodzinnego – murowana kuźnia z kamienia, dom z drewnianym gankiem, kwitnącym sadem gruszy i jabłoni na wysokiej skarpie i za sadem jezioro z brodzącymi bocianami i czaplami na płyciźnie wody.

Sytuacja terenowa, w której ugrzęzły ciężkie działa nie znalazła się dotychczas w obstrzale przeciwnika, tak więc zabicie czy postrzelenie nie było jeszcze realne. Wielkie koło działa, za którego masywne szprychy wuj Marian z wielkim wysiłkiem popychał armatę do przodu, nasunęło mu sposób na samookaleczenie. Wystarczy stopę podstawić pod ciężkie koło armaty. Kilkakrotnie zdesperowany artylerzysta podstawiał nogę pod koło, lecz w ostatniej chwili ją cofał. Za czwartym razem poślizgnął się w lepkim błocie i stopa została zmiażdżona przez armatnie koło. Artylerzysta stracił kontakt z rzeczywistym światem, odzyskał go na noszach, gdy dwaj żołnierze z ambulatorium znosili go na tyły frontu. Błotnista trasa w dół powodowała stałe potknięcia i poślizgi konwoju sanitariuszy,, co bardzo boleśnie odczuwał pierwszy ranny artylerzysta. Na dole rannego przeniesiono na furmankę i zawieziono do najbliższego szpitala.

W szpitalu

Malowniczo położony w górach szpital stał się wymarzonym przytułkiem i azylem dla utrudzonego wojną żołnierza z Galicji. Personel szpitala składał się z doktorów – lekarzy austriackich i włoskich. Służbę pomocniczą pełniły Włoszki, szczególnie piękne pielęgniarki. Stały się więc obiektem zainteresowania rannych bez względu na stopień hierarchii wojskowej i formacji technicznej pacjentów. Szpital spełniał bez zarzutu swoje zadanie. Czysta pościel szpitalna była balsamem dla utrudzonego ciała żołnierzy. Dobre jedzenie przywracało siły zgłodniałym i utrudzonym żołnierzom. Troskliwe ręce i współczujące oczy pielęgniarki Amelii koiły dotkliwy ból zranionej nogi pacjenta Mariana, artylerzysty. Czy doszło do ostrzelania przez artylerię austriacką nieprzyjaciela na wzgórzu? – Czy nastąpił zespolony szturm piechoty prawego i lewego skrzydła austriackiego frontu? – wątpliwe, ponieważ do szpitala każdego

dnia przywożono rannych piechurów przeważnie z prawego skrzydła frontu. Wuj Marian ciągle był jedynym artylerzystą w szpitalu do czasu gdy dowieziono drugiego rannego żołnierza, który poślizgnąwszy się w błocie nieszczęśliwie upadł głową na lufę armatnią. Czyżby to był inny wariant na uzyskanie azylu w alpejskim szpitalu?

Ranni żołnierze powoli powracali do zdrowia i często nie tylko z samej wdzięczności uśmiechali się do pielęgniarek, swoich opiekuńczych aniołów. Pielęgniarki nie pozostawały dłużne i jeśli pozwalała im na to wolna chwila poświęcały pacjentom swój pracowity czas. Tworzyły się ciche, niezauważane przez lekarzy platoniczne sympatie. Tylko ci żołnierze, ciężko ranni, co stracili jakąś kończynę – rękę lub nogę, nie mieli powodów do uśmiechu, lecz oni doznawali szczególniejszej troski opiekuńczej lekarzy i pielęgniarek. Tak mijały dni i tygodnie. Pobyt w szpitalu stwarzał dobre warunki do pisania listów. Wszyscy żołnierze wobec okropności wojny odczuwali potrzebę kontaktu z rodziną – z ojcem, matką, siostrą, żoną, narzeczoną. Listy były zazwyczaj krótkie, lecz pełne treści i wymowy. O sobie ranny żołnierz nie miał wiele do opowiedzenia, nie o wszystkim można też było pisać. Dlatego listy zawierały wiele pytań o rodzinę, krewnych i sąsiadów. Listy były wyrazem tęsknot i życzeń zarazem, były posłaniem, modlitwą, czasem skargą. Napisany list dawał żołnierzowi pewne samouspokojenie i oczekiwanie lepszego jutra. Najtrudniej przychodziło napisanie listu ciężko rannym – jak napisać matce czy narzeczonej, że jest się inwaiidą, że pocisk armatni urwał nogę lub rękę. Pewnego poranka na wielu pacjentów szpitala spadł „blady strach". Dyrekcja szpitala otrzymała wiadomość, że wkrótce odbędzie się wizytacja dowództwa frontu austriackiego z udziałem generałów i oficerów, przedstawicieli wszystkich formacji wojskowych, biorących udział na froncie włoskim. Na wykresach niemal u wszystkich pacjentów temperatura wzrosła, a uśmiechy na twarzach zgasły. Nie wszyscy pacjenci zostali zaniepokojeni, niektórzy byli dobrej myśli i zainteresowani wizytą dowództwa, mieli ciche nadzieje, że za bohaterstwo, odwagę i poniesione rany na froncie zostaną uhonorowani medalami, krzyżami, a może nawet otrzymają tak upragnione kilkutygodniowe urlopy. Oni to zostali najbardziej zawiedzeni wizytą dowództwa frontu.

Po kilku dniach do sal szpitalnych wkroczył korowód wyższych oficerów z Generałem, dowódcą korpusu na czele, za nimi lekarze, pielęgniarki stłoczone pozostały przy drzwiach taksując wzrokiem oficerów. Dyżurny lekarz prowadził Generała kolejno do łóżek i przedstawiał pacjenta. Pacjent o ile był w stanie, podawał sam swoje nazwisko, stopień i jednostkę wojskową oraz gdzie i kiedy został ranny. Pan Generał zadawał czasem jakieś pytanie o rodzinę lub narodowość i salutując odchodził do następnego łóżka chorego. Przy ciężko chorych i kalekach pozostawał trochę dłużej, podawał rękę i salutował, jednocześnie salutowali wszyscy oficerowie. Gdy Generał stanął przed łóżkiem wujka Mariana, tenże przedstawił się jako szeregowy artylerii ciężkiej, uczestnik dwóch frontów, wpierw w Serbii w 1915 r., a następnie na froncie włoskim, gdzie ranny został na wzgórzu Monte Verde nad rzeką Piave. Zainteresowany Generał zadał pytanie: skąd pochodzi i jaki zawód uprawiają rodzice. Zapytany artylerzysta odpowiedział, że pochodzi z Królestwa Galicji i został kowalem po ojcu. Generał podając rękę wspomniał o waleczności Polaków, spojrzał na wykres wciąż wysokiej temperatury nad łóżkiem i życząc powrotu do zdrowia zasalutował. Przed opuszczeniem każdej sali szpitalnej Generał wygłaszał krótką mowę skierowaną do rannych żołnierzy, dziękując w imieniu miłościwie panującego Cesarza Austrii i swoim za bohaterską, pełną poświęcenia walkę na froncie, w obronie przed wrogiem „wielkiej Rodziny wielu Narodów" pod opieką i rządami dynastii Habsburgów. Na koniec życzył wszystkim szybkiego powrotu do zdrowia.

Chociaż życzenia Generała szybkiego powrotu do zdrowia były z pewnością szczere, to jednak nikt z pacjentów-żołnierzy nie pragnął rychłego powrotu do zdrowia. Niektórzy ranni żołnierze patrząc na liczne ordery i krzyże oficerów zadawali sobie pytanie „gdzie, kiedy i za jakie zasługi otrzymałeś te odznaczenia, panie oficerze?".

Na odprawie w gabinecie dyrektora szpitala z udziałem wyższych oficerów sztabu dowodzenia z lekarzami i personelem, Generał wygłosił krótkie posłanie: „wojna trwa nadal i będą nowe ofiary, takie jest prawo wojny. Szpital musi mieć wolne miejsca dla rannych żołnierzy z frontu, dlatego poleca się wypisanie ze szpitala jedną trzecią pacjentów i odesłanie ich do macierzystych jednostek wojskowych". Uwagę lekarza dyżurnego, że tym pacjentom należy się rehabilitacja i odpoczynek Generał skomentował krótko: „rehabilitację żołnierze będą odbywali za linią frontu, tam dostaną dobre jedzenie i lekką pracę. Przedłużająca się wojna na wielu frontach Europy zdziesiątkowała żołnierzy, istnieje zatem konieczność wypełnienia powstałych luk. Jego Wysokość Cesarz dał nam sprawiedliwość – dajmy Jemu lojalność i miłość!"

Na tym wizytacja została zakończona, a jej cel okazał się jednoznaczny.

***

Leżąc w szpitalu w Alpach włoskich artylerzysta Marian zadawał sobie pytania trudne dla zdefiniowania na nie odpowiedzi. Stale powracającym pytaniem było: czy słusznie Król Polski Jan III Sobieski poszedł z odsieczą Wiednia przed Turkami łamiąc umowę pokojową z państwem Otomańskim? Czy zwycięstwo Sobieskiego nad Turkami, potencjalnym wrogiem Moskwy i Niemców nie stało się umocnieniem siły zaborczych państw ościennych, które sto lat później dokonywały kolejnych rozbiorów Polski? Rozmowy z pacjentami, towarzyszami broni różnych narodowości i wyznań utwierdzały, że pobicie Turków i zdobycie cennych namiotów – istnych cudów sztuki, po Karze Mustafie w konsekwencji nie było opłacalne dla Polski. Tak wielkie zwycięstwo nad poganami stało się krokiem w kierunku późniejszej klęski narodu i państwa.

Jednym z istotnych pytań dotyczących jego własnej osoby było, czy świadomie zdezerterował z linii frontu podstawiając nogę pod koło armatnie? Po długich dywagacjach myślowych doszedł do przekonania, że nie była to dezercja! Dezerterem był Cesarz Leopold I, który przed oblężeniem Wiednia przez Turków skrył się w bezpiecznym miejscu – Linzu! Dopiero dwa dni po od-

sieczy wrócił do stolicy w glorii zwycięstwa, przypisując sobie większość zasług za ocalenie miasta. Na głównej bramie miejskiej kazał złotymi literami wyryć tekst po łacinie, który zawierał między innymi te słowa:

„Dzięki Radzie i Przedsiębiorczości Cesarza Leopolda I z Pomocą Jezusa Chrystusa – z Pomocą Najbardziej Chrześcijańskiego z Monarchów – Wiedeń Jest Uwolniony – Turecka Potęga Ginie. Wy, Którzy Jesteście Jego Poddanymi, Kochając i Walcząc za Leopolda, Walczycie za BOGA". Nie ma tam słowa o Janie III Sobieskim, któremu Wiedeń zawdzięcza swoje prawdziwe ocalenie.

Tak więc Leopold walczył za Boga, Bóg za Leopolda, a razem, w tym mistycznym związku, pokonali wroga.

Pociąg-widmo

Długo oczekiwany przez wszystkich nadszedł wreszcie koniec przwlekłej I wojny światowej. Kilkuletnia mordercza wojna mocarstw wyniszczyła nieomal całą Europę. Spalone wsie, zniszczone miasta, zryta pociskami ziemia, ciągnące się kilometrami okopy z zasiekami kolczastego drutu, to krajobraz powszechny. Kilka milionów zabitych, tyleż samo rannych i kalek. Matki nie doczekały się powrotu swoich synów, żony mężów, dzieci ojców, a narzeczone swoich chłopców. Ten smutny krajobraz potęgowały świeże groby i mogiły bezimiennych żołnierzy. Wiele tragicznych skutków wojny zobaczył powracający z włoskiego frontu do swego domu w Galicji artylerzysta austriackiej armii Marian Starościak. Potężne imperia się rozpadły – jaka nadejdzie rzeczywistość?

W czasie długiego, pełnego udręki i niewygód powrotu z wojny Marian Starościak kierował do siebie kolejne pytanie. Czy po zakończeniu wojny światowej, jego nocna ucieczka ze szpitala przez okno, bez pożegnania się z opiekuńczą pielęgniarką Amelią nie okazała się tchórzostwem?

Przechodząc skrycie przez szpitalny ogród pierwsze kroki skierował ku najbliższej stacji kolejowej.

Po kilku dniach uciążliwego marszu artylerzysta Starościak odnajduje górską stację kolejową i ku swojemu zaskoczeniu widzi stojącą na stacji lokomotywę z wagonami. Skład pociągu jest różnorodny; są tu wagony osobowe, transportowe z dużymi platformami oraz wagony bydlęce i puste cysterny. Skład tego dziwnego pociągu został zebrany dzięki wysiłkom kolejarzy z pomocą usłużnych żołnierzy z różnych przyległych stacji. Po mozolnym zgromadzeniu osobliwego składu pociągu i wyznaczeniu dnia odjazdu wszystkich spotkała przykra niespodzianka. Otóż maszynista parowozu, który z takim zaangażowaniem „ściągał wagony", ostatniej nocy, w przeddzień odjazdu zaginął. Czyżby postanowił z wojny wracać piechotą? Jak widmo na urągowisko żołnierzom od kilku dni stoi parowóz z pustymi wagonami, a setki żołnierzy styranych długotrwałą wojną jest bezradnych – brakuje jednej osoby – maszynisty parowozu. Wówczas na arenę dworca kolejowego wkracza artylerzysta Marian Starościak i przedstawia czekającym żołnierzom siebie jako maszynistę z dalekiej Galicji. Natychmiast w korowodzie żołnierzy artylerzysta został zaprowadzony do naczelnika stacji.

Dyżurny ruchu spojrzał krytycznie na samozwańczego maszynistę i zapytał czy może poprowadzić pociąg i czego oczekuje. Tak – lakonicznie odpowiedział kandydat na maszynistę i dodał – Potrzebuję dziesięciu żołnierzy – pięciu do napełniania wodą kotła w parowozie, a pięciu żołnierzy do wysłania ich do lasu po drewno do paleniska pod kotłem lokomotywy. Jak na rozkaz generała żołnierze pobiegli galopem wykonać zadanie. Już po godzinie rozpalono ogień w piecu pod kotłem. Powoli rozgrzewała się woda tworząc parę, podstawową energię siły poruszającą cały układ mechaniczny lokomotywy. Manometr wskazywał powoli wzrastające ciśnienie pary. Wszystkich ogarnął wielki optymizm, tylko nowy maszynista był mocno zaferowany i skupiony. Podjął się bowiem zadania ryzykownego, stanął w lokomotywie po raz pierwszy w życiu. Dotychczas w swojej wsi Jezierzanach, będąc kowalem obsługiwał młockarnię poruszaną maszyną parową. Jedyną wspólną cechą maszyny parowej i lokomotywy były tłoki poruszane sprężoną parą i to wszystko.

Gdy manometr wskazywał stale wzrastające ciśnienie pary, maszynista-nowicjusz namacalnie badał wciąż tajniki obsługi lokomotywy. Wreszcie w kotle lokomotywy wzrosło ciśnienie maksymalne, co demonstrował co pewien czas włączany gwizdek parowy. Żołnierze zajęli wszystkie możliwe miejsca w wagonach i na wagonach, również na cysternach. Wszyscy kolejarze wyszli na peron odprawić do odjazdu pierwszy pociąg po wieloletniej wojnie światowej. Semafor został otwarty i dyżurny ruchu dał sygnał do odjazdu. I wówczas nastąpił moment wielkiego zaskoczenia, ponieważ maszynista nie odnalazł jeszcze właściwej dźwigni uruchomienia lokomotywy. Artylerzysta pociągał co chwilę za łańcuch gwizdka, badając siłę pary. Gwizdek wielkim pióropuszem pary i ogłuszającą siłą wypełniał ciszę denerwującego wyczekiwania. Silne echa gwizdka odbite od szczytów gór powracały na perony stacji. Mocno zdenerwowani kolejarze w osłupieniu spoglądali na lokomotywę i maszynistę, bezskutecznie usiłującego uruchomić pociąg. Zaniepokojeni żołnierze poczęli schodzić z wagonów, tworząc krąg wokół lokomotywy, a inni zrezygnowawszy z jazdy z peronu spoglądali z wyczekiwaniem co dalej nastąpi. I w czasie tak napiętej chwili lokomotywa drgnęła i powoli ruszyła do przodu. Sprężona para wyzwolona z tłoków, mocna jak oddech wulkanu, zwycięsko strzelała ku górze. I wówczas wszyscy, którzy zeszli z wagonu, biegnąć za odjeżdżającym pociągien, wskakiwali w biegu na progi i pomosty wagonów. Z każdą chwilą lokomnotywa nabierała szybkości, ciągnąc za sobą liczny skład wagonów. Zdumionym kolejarzom pociąg szybko znikł z pola widzenia.

Dyżurny ruchu dopadł telegrafu i nadał krótki komunikat do dyżurnego sąsiedniej stacji: „pociąg KP13 z dużą szybkością nadjeżdża, dajcie zielone światło na semaforze". Po otrzymaniu tej wiadomości na całej stacji nastąpiło niezwykłe poruszenie, wszyscy kolejarze wybiegli na perony by przyjąć pierwszy pociąg po wojnie. Tłumy żołnierzy z demobilu tłoczyły się przy krawężniku peronu. Z dala dobiegał odgłos zbliżającego się pociągu, o czym także donosił mocny gwizdek lokomotywy. Podniecenie z każdą chwilą wzrastało. I oto ukazała się szalona lokomotywa, która z olbrzymią szybkością, z hukiem i stukotem przemknęła przed oczyma oczekujących, ciągnąc za sobą podskakujące wagony. Wszyscy zamarli ze zdumienia. Pociąg jak

widmo znikł z pola widzenia. Pierwszy ocknął się dyżurny ruchu i pobiegł do telegrafu. W wielkim zdenerwowaniu wystukiwał komunikat: „pociąg KP13 z nadmierną szybkością przejechał przez stację, na czerwonym świetle semaforu – w lokomotywie siedzi chyba szaleniec – nastawcie zwrotnicę na boczny, martwy tor – do wykolejenia pociągu!"

Kolejna stacja wpadła w panikę. Zaczęła się nerowwa mobilizacja – wyznaczanie ślepego toru – powołanie policji i straży kolejowej oraz pogotowia ratunkowego. Na końcu ślepego toru, na masywie ziemi w pośpiechu układano piramidę z podkładów kolejowych. Wszyscy wybiegli na perony i w wielkim podnieceniu oczekiwali biegu wydarzeń. Wśród kolejarzy znalazł się również prawdziwy maszynista parowozu. Napięcie wzrastało do granic wytrzymałości. I wreszcie ukazała się sylweta parowozu, w kłębach obfitej pary. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu oczywistej katastrofy. Zdumiewające – jednak lokomotywa wjeżdżając na stację zwolniła bieg, a następnie coraz wolniej przez rozjazdy w szynach wjechała na boczny, ślepy tor i stanęła trzy metry przed wałem ziemi i piramidą z podkładów. Kolejarze ze strażą i policją podbiegli do parowozu. Straż kolejowa gwałtownie wywlokła z lokomotywy niefortunnego maszynistę na ziemię. I wówczas poczynając od dyżurnego ruchu, wszyscy kolejarze, nie wyłączając policjantów dawali upoust swemu wielkiemu zdenerwowaniu i złości w obliczu przewidywania najgorszego, miotali jak z granatników solidne kopniaki w tyłek feralnego maszynisty. Następnie samozwańczy maszynista został zaaresztowany i osadzony w bagażowni stacji kolejowej – był to pierwszy wypadek w historii kolei, gdzie przechowalnia bagażu z konieczności stała się więzieniem.

Nastąpił dłuższy postój pociągu. Prawdziwy maszynista zajął się napełnianiem kotła wodą oraz zgromadzeniem zapasów paliwa dla lokomotywy. Obsługa techniczna kolei sprawdzała stan techniczny resorów, osi, kół i zderzaków. Wystraszeni pasażerowie, chociaż wielu z nich niejedno przeżyło na froncie, teraz uspokojeni zasiedli w wagonach. Przegląd techniczny został zakończony. Wszyscy kolejarze wyszli na peron. Zwrotniczy wystawił zielone światło na semaforze. Dyżurny ruchu z powagą uniósł swój „lizak" – kolejowe berło władzy i pociąg ruszył do przodu. Z wielką siłą lokomotywa wyrzucała kłęby pary ku górze, przyśpieszając swój rytm. Gdy pociąg znikł za pierwszym zakrętem kolejarze wrócili na stację.

***

Po miesiącu artylerzysta Starościak powrócił do swego domu w Jezierzanach w pow. tłumackim. W kuźni ucałował kowadło i rozpoczął pracę kowala. Po wieloletniej wojnie wieś potrzebowała pilnych usług kowalskich i doceniła solidną robotę kowala. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a w głębi duszy kowala ciążyły mu wciąż wydarzenia i przeżycia wojenne i wciąż powracały te same pytania: Czy nie było dezercją podstawianie nogi pod koło działa armatniego? Czy nie była tchórzostwem ucieczka przed pielęgniarką ze szpitala? Czy nie było wielce ryzykowne i nieodpowiedzialne uruchamianie lokomotywy?

Tym pytaniom i wątpliwościom położył kres najazd bolszewicki na Polskę. Starościak natychmiast zgłosił się do Legionów i wcielony do piechoty wyruszył na Kijów. ❑

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

Janek Kowal uczył się coraz pilniej i dokładniej. Zaczął czytać godzinami niemiecką gazetę „Kronenzeizung", którą kupował za trzy halerze. Szukał skrupulatnie w słowniku niemieckim każdego nieznanego słowa, przyswajał je sobie i po tygodniu wytężonej pracy był z gazetą gotów. Nie było w niej jednego słowa, którego by nie rozumiał.

W gronie kolegów, a zwłaszcza Lola, który znał dobrze język niemiecki, próbował swych sił. Rozmawiali po niemiecku tak jak umieli, wmawiając w siebie, że to jest najlepsze przygotowanie do kadeckiej szkoły.

Nie zrywał też kontaktu ze swymi kolegami ze szkoły ludowej.

Zbierali się razem w chwilach wolnych na łące, na tak zwanych „stawiskach" i tu Kowal jednym tchem recytował dopiero co przeczytane powieści dla młodzieży w rodzaju „Ducha puszczy", „Wędrowca leśnego", „Młodego wygnańca" itd. Chłopcy słuchali tego wszystkiego z zapartym tchem, podziwiali swego dawnego kolegę, że tak to wszystko pamięta i byli mu za to wdzięczni.

Spotkania te odbywały się stale, a Kowal wskazywał ponadto tytuły innych książek i zachęcał ich do samodzielnego czytania.

Odrabiał też starannie lekcje z Zosią i ze Sternbergiem.

Dni mijały szybko.

Zbliżał się 15 maja – dzień imienin Zosi. Kowal przemyśliwał i łamał sobie głowę nad tym co ma zrobić i jak postąpić.

A może lepiej byłoby udać, że nic nie wie. Nie, to absolutnie nie wypada. Szybko odrzucił tę myśl.

W sąsiedztwie kuźni prowadził swoje gospodarstwo ogrodnicze dobry znajomy rodziców – Kłonowski. W ogrodzie było pełno wspaniałych róż. Często wieczorami Kłonowski przebywał u rodziców Kowala i nieraz przysłuchiwał się opowiadaniom młodego ucznia.

Do niego udał się Kowal na dzień przed imieninami prosząc o pomoc, oczywiście nic nie wspominając o różach. Jakież było jego zdziwienie, kiedy następnego dnia zjawił się Kłonowski ze wspaniałym bukietem róż czerwonych i kremowych. Kowal stał speszony i nie wiedział co począć.

– To za te piękne opowiadania – powiedział Kłonowski i nie czekając na podziękowanie wyszedł z pokoju.

Kowal włożył róże do wody, udał się pędem do miasta, kupił paczkę tytoniu „Hercegowiny" i pudełko „Damskich"

papierosów i zadyszany pobiegł do ogrodnika. Podziękował serdecznie za róże i wręczył mu z dumą prezent.

To jeszcze nie wszystko – myślał. Co jej powiedzieć i jak? Czy może mówić przez „pani"? Nie – to jakoś nie składa się. Może zwyczajnie przez „ty"? O, nie! To stanowczo nie. Na to brak mu było po prostu odwagi. Zaraz tę myśl odrzucił zdecydowanie.

A może tak bezosobowo – jak w czasie lekcji – zwyczajnie: w dniu imienin składam serdeczne życzenia – i tu zaciął się jak wówczas przy tych zatokach na mapie półkul w czasie lekcji geografii.

No co – chyba życzenia szczęścia, zdrowia i złożenia egzaminu przy końcu roku.

Aż pot wystąpił mu na czoło. To gorsze i trudniejsze jak jakaś ciężka lekcja matematyki.

Kilka minut przed czwartą wyszedł z domu unikając z kimkolwiek spotkania i szybko, niemal biegiem, ruszył w stronę gmachu gimnazjum, obok którego mieszkała Zosia.

Cicho wszedł do przedpokoju i był bardzo rad, że nie zastał nikogo w pierwszym pokoju, prócz starej, sympatycznej gospodyni. Prawdopodobnie matka wyszła z domu, nie będzie więc świadków przy składaniu życzeń. Jednak wydało mu się, że słyszy jakieś głosy w następnym pokoju. Odwinął szybko bukiet, zapukał lekko do drzwi i wszedł.

Stanął ze swymi różami jak wryty. Pośrodku pokoju, przy dużym stole, siedziała Zosia w towarzystwie matki, koleżanek z pierwszej A i B i jeszcze kilku dziewczynek.

Wszyscy jak na komendę wlepili wzrok w Kowala. Cofnąć się jednak nie było można. I nie wiadomo, co było w tej chwili bardziej czerwone – czy te róże, które Kowal trzymał w drżącej ręce, czy też rumieniec, jaki oblał jego i tak już rozpłomienione oblicze.

Ukłonił się i wolno – jakby mu coś odjęło moc w nogach – podszedł w stronę Zosi, drżącym głosem i z gwałtownym biciem serca zaczął:

– Pani Zosiu – i od razu spostrzegł się, że powiedział inaczej, niż sobie to ułożył.

– Życzę dużo szczęścia i moc słonecznych dni.

Dalsze jego słowa zagłuszyły oklaski zebranych i to wybawiło go z ciężkiej sytuacji. Podał Zosi róże i odetchnął głęboko, jak gdyby zwalił z siebie jakiś nieznośny ciężar. Przywitał się z matką, z koleżankami Zosi i na zaproszenie matki usiadł przy stole obok solenizantki.

Na stole było kilka pięknych wiązanek konwalii, bzu i róż, a wszystko to znajdowało się w delikatnych kryształowych flakonach.

Kowal ochłonął z pierwszego wrażenia. Spojrzał ukradkiem na Zosię. Jaka piękna dziś była. Miała na sobie śliczną sukienkę z surowego jedwabiu, przewiązaną czerwonym irchowym paskiem. Włosy miała uczesane zupełnie jak Greczynki, które widział na rycinach w historii starożytnej. Jej szyja, twarz i ręce były jak z białego jasnego alabastru i niemal przejrzyste.

Jednak była najładniejsza ze wszystkich obecnych tu swych koleżanek.

Jakże w głębi duszy cieszył się, że ją uczy, że może tu siedzieć obok niej. Zawsze ilekroć oczy ich spotkały się ze sobą robiło mu się dziwnie przyjemnie i ciepło. Woń konwalii, bzów i róż napełniała pokój.

Podano herbatę, ciastka i tort. Od czasu do czasu popijano dobre słodkie wino owocowe. Wesoła wrzawa zapanowała w tej gromadce, przerywana wiwatami na cześć Zosi.

W pewnym momencie matka Zosi, widząc skrępowanie w rozmowie młodych, zauważyła, że powinni sobie mówić po imieniu, gdyż są prawie wszyscy z tej samej klasy. Zostało to przyjęte hucznymi oklaskami i po chwili rozmowy toczyły się znacznie raźniej i swobodniej.

Oczywiście o lekcji w dniu tym nie mogło już być mowy.

Około godziny siódmej Kowal pożegnał się ze wszystkimi wymawiając się lekcją z Lolem, którą miał mieć o siódmej.

Wracał uszczęśliwiony i całkowicie oszołomiony dzisiejszymi przeżyciami.

Najchętniej teraz udałby się gdzieś w pole, na łąkę, zanurzyłby głowę w pachnącą trawę i z zamkniętymi oczami śniłby dalej ten swój piękny sen i to co przeżył dziś na jawie.

Dlaczego u nas w domu nie obchodzi się imienin – zastanawiał się zbliżając się do domu, w którym mieszkał Sternberg. Przecież to takie piękne, takie radosne i daje tyle zadowolenia – myślał.

Zakończył się rok szkolny. Kowal przeszedł do drugiej klasy z adnotacją „chlubnie uzdolniony". Z religii i geografii otrzymał stopień dobry.

Zosia – jako hospitantka – złożyła egzamin roczny z bardzo dobrym wynikiem i przeszła do drugiej klasy również jako chlubnie uzdolniona.

Także Lolo przeszedł do drugiej klasy, co Kowalowi sprawiło szczególną radość.

Znowu, jak przed rokiem, przyglądał się Kowal w lustrze, cieszył się i radował widokiem dwóch srebrnych pasków na kołnierzu swego mundurka.

Od ojca Lola otrzymał pozłacany amerykański zegarek kieszonkowy, a od matki Zosi piękne sukienne ubranie sportowe i letni płaszcz.

Zaczęły się pierwsze wakacje.

(c.d.n.)

„O moich latach gimnazjalnych w Tłumaczu"

Marian Haraszkiewicz

Cz. I. Życie w bursie przy ul. Kolinieckiej

Naukę moją w Państwowym Gimnazjum typu klasycznego w Tłumaczu rozpocząłem w roku szkolnym 1919/20, jako uczeń I klasy. Była to moja pierwsza szkoła, bo do szkoły ludowej nie uczęszczałem. Rodzice moi byli nauczycielami szkoły ludowej we wsi Czarnołożce, we wschodniej Małopolsce, w byłym województwie stanisławowskim. Czarnołożce była to wielka wieś, około 4000 mieszkańców, piękna i rozległa – około 1000 „numerów" tzn. zabudowań. Mieszkańcami byli greko-katolicy, poza tym byli rzymsko-katolicy w liczbie około 50 osób i dwie rodziny żydowskie. W tej wsi urodziłem się 25.V.1909 r. W chwili wybuchu I wojny światowej miałem zatem 5 lat. Miałem również brata, który

miał 3 lata. Gdy monarchia austro-węgierska doznała niepowodzeń na froncie wschodnim, a wojska cara zajmowały Galicję, wydano nakazy ewakuacji poddanych cesarza, a zwłaszcza pracowników państwowych do których zaliczono również nauczycieli. Z powodu ewakuacji opuściliśmy Czarnołożce i zaczęliśmy podróżować. W czasie pierwszej inwazji zjeździliśmy Węgry i Czechy; piszę zjeździliśmy ponieważ nasze pobyty z zamieszkaniem trwały nie więcej jak pół roku w jednej miejscowości. Na krótko wróciliśmy do Czarnołoziec, które leżały wtedy w strefie przyfrontowej. W czasie drugiej inwazji rosyjskiej przebywaliśmy dłużej we wsi Bysina w powiecie myślenieckim, gdzie Rodzice byli na posadach nauczycielskich – Matka pracowała tam stale, Ojciec ze znacznymi przerwami ponieważ często był wzywany do służby wojskowej – reklamowany i zwalniany i ponownie wzywany. W Bysinie Matka nauczyła mnie czytać i pisać. Tu przeczytałem Robinsona Cruzoe – pod dyskretnym kierownictwem Mamy, tu otrzymałem od Mamy początki gramatyki polskiej z książki „Gramatyka dla szkół podstawowych" Konarskiego. W roku 1918 już w Czarnołożcach przeżyliśmy upadek Monarchii Austro-Węgierskiej. Z okna szkoły oglądałem placyk (odległość 200 m.) gdzie odbywał się wiec, na którym została proklamowana Ukraina.

Proklamowanie Ukrainy zbiegło się w czasie z powstaniem Polski co spowodowało konflikty polsko-ukraińskie.

Dla naszej rodziny zaczęły się nowe wędrówki. Znowu opuszczamy Czarnołożce. Władze ukraińskie zażądały od nauczycieli podpisania aktu uznania państwa ukraińskiego tzw. „zajawy". Rodzice nie podpisali i musieliśmy opuścić szkołę, gdzie mieliśmy służbowe mieszkanie. Wszystko było oczywiste i proklamowanie Ukrainy na terenach gdzie Polacy rz.kat. byli w mniejszości, a ponadto byli tak zasymilowani z otoczeniem, że nie władali nawet j. polskim, jak i to, że niepodpisanie „zajawy" musi być równoznaczne z opuszczeniem stanowiska pracy. Przeprowadzka była ciężka, była już zima, konieczność opuszczenia Czarnołoziec była tak nagła, że Matka zapakowała do kosza mokrą bieliznę. Furmankę z trudem załatwił Ojciec i wyjechaliśmy do Tyśmienicy, gdzie było więcej Polaków. W Tyśmienicy zamieszkaliśmy u Dominika Nickowskiego. Był on jednym z trzech braci trudzących się wyrobem wędlin i ubojem świń. On to udzielił nam tak potrzebnej pomocy. Ja z bratem otrzymaliśmy od Rodziców polecenie, że gdyby ktoś nas o to pytał – mamy twierdzić, że p. Nickowscy są naszymi krewnymi. Był to wówczas bezsprzecznie akt odwagi ze strony pp. Nickowskich, bo czasy nie były spokojne. Przez Tyśmienicę przechodzili różni umundurowani ludzie, z bronią i bez, widziałem raz kilku ludzi z instrumentami orkiestry dętej, innym razem wozy taborowe... Ład sprawowała władza ukraińska z niebiesko-żółtymi wstążkami. Wśród młodych Ukraińców zaczęła się masowo pojawiać czapka „mazepinka" z emblematem „trójząb Posejdona". Wśród Polaków działały organizacje – Rodzicom wypłacano pensje, wychodziła polska gazeta „Znicz" i „Republika" (?). Rodzice nie zapominali o moim uczeniu się. Nie było naturalnie mowy o nauce szkolnej, ale zorganizowali mi systematyczne lekcje dla przygotowania do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Uczył mnie nauczyciel zawodowy pan Benedykt Jacorzyński, a wyniki nauczania były tak dobre, że egzamin wstępny zdałem na austriacką 1 czyli obecną 5. W domu nadal czytałem: Rodziewiczówną, „Barcikowscy" i „Młodość Wodza Narodu" – młodzieżowa powieść o Tadeuszu Kościuszce, roczniki oprawione czasopisma „Chata". Wcześnie wiosną poznałem sąsiada Julka Jaciuka, mieszkaliśmy blisko siebie i kiedy zaczęły się cieplejsze dni, zaczęły się nasze sprawy techniczno-naukowe. Obydwaj mieliśmy jakąś żyłkę dociekania, szukania związków i początków w poznawanych zjawiskach.

Z wiosną sprawy polsko-ukraińskie zaogniły się, były walki i morderstwa, łzy i oburzenie. Na szczęście krótko to trwało, z Tyśmienicy ustąpili Ukraińcy i władzę w mieście objęli Polacy. Ale my musieliśmy nadal wędrować, dotarliśmy do Stryja, gdzie zdałem egzamin wstępny do I klasy gimnazjalnej. W czasie wakacji przybyliśmy z rodziną do Czarnołoziec, a z początkiem roku szkolnego 1919/20 zostałem uczniem I klasy gimnazjum w Tłumaczu. Jak z tego widać warunki wojenne nie pozwoliły mi uczęszczać do szkoły podstawowej. Wyjazd do Tłumacza był pewną nowością, ale nie stanowił epokowego przeżycia, byłem przyzwyczajony do zmian otoczenia i miałem sporo samodzielności i krytycyzmu pomimo moich 10 lat i nieopuszczania domu Rodziców. Warunki wojennych ewakuacji w oczywisty sposób rzutowały na dom moich Rodziców i nasz rozwój tj. mój i mojego brata Tadeusza, młodszego o 2 lata.

Wyjazd do Tłumacza poprzedzało kompletowanie ekwipunku, były w nim długie spodnie i krótkie zapinane pod kolanami, noszone z pończochami, granatowa mundurowa bluzka z jednym srebrnym paskiem, naszytym bezpośrednio na kołnierz... czapka granatowa maciejówka uszyta własnoręcznie przez moją Matkę z moją pomocą i ozdobioną emblematem gimnazjalnym: skromną dosyć literą „G" w potężnym wieńcu. Ponadto miałem kuferek, w nim skromną jakościowo i ilościowo bieliznę, pończochy no i książki gimnazjalne: polskie wypisy, książkę do łaciny, geografię Siwaka z atlasami i inne. Na ogół książki mieliśmy. Miałem też zeszyty do poszczególnych przedmiotów.

Zamieszkałem na stancji w rodzinie państwa Moszyńskich, nauczyciela, który utrzymywał koleżeńskie stosunki z moimi Rodzicami. Mieszkali w budynku „Sokoła", na niskim parterze, od strony poczty i domu Howurków. Pierwsze kontakty ze szkołą były już przeżyciami – dotychczas nigdy jeszcze do szkoły nie chodziłem. Przeżyciem była lekcja, rygor szkolny, kontakty z kolegami. Z nauką szkolną nie miałem kłopotów, jak się okazało byłem dobrze przygotowany z polskiego, głównie gramatyki, co miało wielkie znaczenie przy nauce j. łacińskiego. Zawdzięczam to mojej Matce, Ona nauczyła mnie czytać i pisać z jakąś dziwną łatwością, co pozwalało na wczesne zajęcie się lekturą. Było to pożyteczne i przyjemne, a zawdzięczam to i panu Benedyktowi Jacorzyńskiemu, który potrafił przy uczeniu gramatyki wszczepić pewną dociekliwość form gramatycznych i logiki w myśleniu i wypowiadaniu. Jedną z najmniej przyjemnych spraw było nadużywanie głosu. Wydaje mi się, że wtedy wszyscy nadużywali głosu, mój Ojciec krzyczał często, krzyczeli na nas pro-

fesorowie, szczególnie prof. Stanisław Mendrala, krzyczały matki na swoje dzieci, krzyczeli do siebie chłopi i Żydzi w sklepie, na targu. Mam wrażenie, że i my smarkacze z I klasy gimn. krzyczeliśmy również do siebie. Krzyk miał może pewne walory: słychać było nauczycieli w klasie... Uczyliśmy się głównie na lekcji, zadanie miałem zawsze (lub prawie zawsze) rozwiązane, jeżeli tylko uważałem na lekcji. Uczenie się, zwłaszcza w początkach było łatwe, wymagało głównie utrwalenia materiału. Młodzież klas pierwszych była różnych narodowości: Polacy, Ukraińcy-Rusinie, Żydzi i pochodziła z różnych środowisk. Polacy byli głownie dziećmi urzędników państwowych i częściowo rzemieślników, Ukraińcy to przeważnie dzieci chłopów, a Żydzi pochodzili z rodzin kupieckich i rzemieślniczych. Każda z tych grup reprezentowała odmienną kulturę i orientację społeczno-polityczną. Życie szkoły płynęło spokojnie mimo tych różnic, zadania szkoły były traktowane ponad wszystko. W sposobie bycia młodzieży występowało pozytywne zjawisko wzajemnego poszanowania, może nie nazbyt głębokie, ale formy zawsze były zachowane.

Mój pobyt na stancji u p. Moszczyńskich trwał kilka tygodni. Pewnej środy (w październiku) kiedy mój Ojciec przy okazji dnia targowego przyjechał do Tłumacza, dowiedziałem się, że wymówiono nam mieszkanie. Ojciec zaczął znowu szukać... i tak trafiłem do bursy gimnazjalnej. Bursa mieściła się w drewnianym budynku w stylu góralskim położonym w parku za gimnazjum, graniczyła z polami właścicielki Tłumacza, wdowy po notariuszu Dolaisie... W bursie mieszkało około 40 chłopców z różnych klas, a rządził tu St. Mendrala nauczyciel łaciny i greki. W bursie panował rygor, były przestrzegane surowo godziny „silentium" i rekreacji. „Pierwszaków" i nieco starszych po „silentium" przepytywali starsi uczniowie np. Zdanowicz z kl. VI. Zwracaliśmy się do nich per „Wy". Było tu twardo i surowo, ale znośnie dopóki świeciło jesienne słońce i rosła marchew na polach p. Dolaisowej. Gdy przyszedł listopad i zima zaczęły się ciężkie czasy: zaczęliśmy odczuwać głód i chłód i ciężary uczenia się.

Na zimę przeniesiono nas do innego pomieszczenia. Była przy ul. Kolinieckiej (prowadzącej do wsi Kolińce) duża willa piętrowa z wielkim ogrodem przylegającym do potoku Tłumaczyk. Tam została przeniesiona bursa. Były tam całe okna, drzwi i piece, była kuchnia, były sypialnie i jadalnia, w której uczyliśmy się. Zaopatrzenie w żywność było złe, jak zresztą w całym kraju w tych czasach. W bursie było głodno i pasowało stare powiedzenie „głodna bursa". Rządy sprawowali prof. St. Mendrala i katecheta ks. Jan Podczerwieński. Odpytywanie całych stronic łaciny nie słabło, inne przedmioty były słabiej egzekwowane. Było tak jak w piosence studenckiej: „marne życie studentera, belfer ciśnie jak cholera, kuć trza dużo, a jeść mało... skandować trza jak przystało...". My „pierwszacy" na szczęście jeszcze nie skandowaliśmy, ale za to wykonywaliśmy szereg prac jak sprzątanie, uprawianie ogrodu itp. W bursie zaczynaliśmy się wzajemnie obserwować i poznawać. Byli tam frontowi żołnierze, którzy karabin z wyjętym zamkiem trzymali za piecem, ci chodzili do wyższych klas, było kilku 16-latków i „szaraki" 10-13-letnie. Jeden rok – w tych latach stanowił wiele, a więź klasowa również jest ważną w liczniejszych środowiskach. My, „pierwszaki" trzymaliśmy się razem, razem znosiliśmy to niełatwe życie. Czasem grywaliśmy międzyklasowego palanta gumową piłką zwijaną z okrawków, przeważnie jednak omawialiśmy nasze sprawy szkolne. Wtedy ukazywały się indywidualności chłopców: był tam Jan Świderski – chłopskie dziecko, szczere, uczynne, był Julian Malinowski, który już wtedy wiedział, że zostanie księdzem, był Józef Wójcik oddany przełożonym, dla którego szczególnie ważne było zadowolenie i pochwała przełożonego, był Pona – dzieciak, który całkiem nie wiedział po co się uczy, ale parł naprzód, bo uważał to za potrzebne do utrzymania się w życiu, był Jan Tabiński, który bardzo ciężko chorował na długotrwały ropień goleni (tbc), zawsze był przemęczony i pracą i chorobą, ale jeszcze w tym stanie potrafił zarabiać oprawianiem książek i ciułać grosiki. Może to wynikało ze zrozumienia swego stanu zdrowia i wartości pieniądza, może było to podświadome, ale zawsze świadczyło dobrze o jego konstrukcji psychicznej. Byłem wreszcie ja – trochę mamin synek – ciura w określeniu prof. Mendrali. Co oznaczało „ciura" dobrze nikt nie wiedział. Gdzieś w wypisach szkolnych, prawdopodobnie z wyjątku „Krzyżaków" Sienkiewicza, było coś o ciurach obozowych tj. służbie czy pomocnikach wojujących rycerzy. „Ciurowie" nie byli tam niedołęgami, a raczej elementem oportunistycznym i niekarnym. Natomiast moje przezwisko miało znaczać niedołęstwo, które mi przypisywał prof. Mendrala. Ponieważ w szkole co aktywniejsi z „lizusów" podchwycili moje przezwisko, zacząłem być przedmiotem pośmiewiska. Była to sprawa dla mnie bardzo przykra. Rozpocząłem walkę z prof. Mendralą, gdy wołał „ciura" – nie wstawałem, był to z mojej strony akt rozpaczliwej odwagi, zadokumentowany oświadczeniem, że ja nie nazywam się „ciura". Reakcja prof. M. była dość niewyraźna, dziś nazwałbym to jako stracenie głowy wskutek zaskoczenia. Walka nasza trwała kilka tygodni, pan profesor przestał mnie przezywać, a wśród kolegów zyskałem chyba uznanie. W szkole przestałem być przezywany, chociaż niekiedy jeszcze przezywali mnie.

(c.d.n.)

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

W stepie

Janina Sokołowska-Kubica

Działo się to w grudniu 1942 r. na stepach syberyjskich, w okresie wielkiego głodu, kiedy wszystkie zapasy żywności przeznaczane były dla wojska na front rosyjsko-niemiecki.

My zesłańcy pracowaliśmy tylko za zupę zwaną „pochlopką" i 200 gramów chleba dziennie. Moja mama Paulina i brat Zbyszek chorowali wówczas już od kilku miesięcy, tak że jedyną żywicielką rodziny byłam tylko ja.

Wprawdzie cały swój przydział chleba przynosiłam dla nich, żeby nie umarli z głodu, ale te 200 gramów nie wystarczało żeby przeżyć we trójkę.

Aby móc jakoś przetrwać ten straszny głód, trzeba było od czasu do czasu robić dalekie wyprawy po chleb, przez zaśnieżone i wietrzne stepy, nawet po kilkadziesiąt kilometrów do wiosek kirgijskich i tatarskich. Tam można było zdobyć trochę kaszy, ziarna pszenicy i kartofli za wymianę naszych osobistych rzeczy.

Pewnego poranka wybrałam się razem z moją przyjaciółką Marią (nazwiska jej już dzisiaj nie pamiętam) w daleką drogę zdobywać pożywienie. Zabrałyśmy z sobą worki z odzieżą, naręcza drewna i zapałki. To wszystko załadowałyśmy na sanki i o świcie wyruszyłyśmy w nieznane. Szłyśmy przed siebie w kierunku pustego i zaśnieżonego stepu po twardym jak beton śniegu, ponieważ od paru miesięcy trzymały silne mrozy. Pokrywa śniegu była szklista, śliska i miała około półtora metra grubości. Opatulone w ciepłe ciuchy – bo takie nam tylko zostały – buty miałyśmy okręcone szmatami, więc szło się nam bardzo ciężko. Na tym pustkowiu byłyśmy tylko we dwie. Najmniejszego śladu drogi nie było widać. Szłyśmy jak to się potocznie mówi „w ciemno". Wylęknione nadsłuchiwaliśmy czyjegoś głosu, czekałyśmy na jakieś echo czy na tętent koni, ale niczego nasze uszy wyłowić nie potrafiły.

Ja byłam dużo młodsza od mojej przyjaciółki, więc chwilami widziałam jeszcze świat na różowo, wykrzykiwałam więc czasami głośno hop! hop! albo śpiewałam harcerskie piosenki. Ona zaś miała poważną i zmartwioną twarz i łzy zamarzały jej na policzkach. Starałam się Marię trochę rozchmurzyć, ale zupełnie mi się to nie udawało. Patrzyła na mnie jeszcze bardziej smutniejszymi oczami. Nazywała mnie dzieciakiem i poganiała stale do przodu. Zmęczone całodzienną wędrówką wypatrywałyśmy jakiegoś osiedla lub żyjącej istoty, lecz poza oddalającym się horyzontem i pustką niczego dopatrzyć się nie było można.

Zbliżała się noc ciemna, a my wciąż w pustym stepie. Milczałyśmy już obie i w zamyśleniu posuwałyśmy się coraz wolniej do przodu. Byłyśmy już bardzo zmęczone i głodne. Nagle zobaczyłyśmy w oddali światełka. Krzyknęłam głośno, że widać jakąś wioskę. Maria ocknęła się z zadumy i patrząc w dal powiedziała: „Nie, to chyba fatamorgana". Stanęłyśmy jak wryte – myśląc – czy to sen czy jawa? Rozczarowanie nastąpiło szybko kiedy usłyszałyśmy wycie wilków. W jednej sekundzie odniosłyśmy wrażenie, że zostałyśmy porażone piorunem. Oblał nas zimny pot, poczułyśmy ogromny strach. Co mamy robić w takim przypadku? Zaczęłam głośno i spazmatycznie płakać. Dużo starsza ode mnie Maria krzyknęła: „Weź się w garść, zapal zapałki, zrobimy ognisko!". Prędzej, prędzej – popędzała mnie – bo zaraz wilki podejdą. Mówiła: „Przecież byłaś harcerką, więc musisz być dzielna i odważna, pamiętaj, że musimy to przetrzymać i żyć ażeby kiedyś powrócić do naszej ukochanej i wytęsknionej Polski. Przestań wreszcie płakać i bierz się do roboty.".

Drżącymi i zmarzniętymi rękami nie mogłam zapalić zapałek, które wypadały mi z rąk, ale w końcu zapaliłam – udało się. Siedziałyśmy na sankach i przy niedużym ognisku grzałyśmy ręce, ciągle spoglądając w kierunku widocznych cieni i świecących oczu wilków. W końcu spaliłyśmy i nasze sanki. Stałyśmy teraz nad ogniskiem i modliłyśmy się do Pana Boga i Matki Bożej o opiekę i pomoc. Maria głośno odmawiała różaniec, z którym nie rozstawała się nigdy. Byłam zmarznięta i senna, ale ze strachu nie zamykałam powiek. Nasze słowa modlitwy zlewały się z wiatrem, wyciem wilków i uderzeniami łopaty, którą waliłyśmy w blaszany rondel, gdyż – jak nam mówiono wcześniej – hałas odstrasza wilki. Był to koszmar! Dwie kobiety zagubione w rozległym stepie nocą.

W końcu zaczęło świtać, zbliżał się ranek – i oto co zobaczyłyśmy. Nie wierząc własnym oczom zorientowałyśmy się, że znajdujemy się niedaleko zagajnika, a obok widać było parę ziemianek. Zerwałyśmy się na nogi i jeszcze z płonącymi pochodniami, chociaż wilki już odeszły, dobiegłyśmy do osady. W tych ziemiankach mieszkali Tatarzy i Kirgizi wraz z rodzinami. Oni wcale nie byli zaskoczeni naszym zachowaniem, gdyż przez całą noc słyszeli wycie wilków. Dowiedziałyśmy się od nich, że wilki podchodzą pod ich zagrody, ponieważ opodal ich zabudowań znajdują się szopy, w których są barany i konie. Był to tak zwany sowchoz. Tatarzy byli nawet mili i serdeczni. Nakarmili nas kaszą polaną smalcem baranim i napoili gorącą herbatą z mięty. Po wymianie odzieży na pszenicę i kartofle postanowiłyśmy zaraz wracać do domu. Tatarzy pokazali nam powrotną drogę i nakazywali kierować się za słońcem na zachód. Z workami na plecach ruszyłyśmy w drogę powrotną do Presnogorkowki. Po nocy nastał piękny słoneczny dzień, a słońce świeciło tak mocno, że idąc trzeba było mieć oczy zmrużone, bo śnieg skrzył się jak rozżarzona żarówka. Piekły nas i bolały oczy, ale iść trzeba było, aby zdążyć do domu przed nocą. A był to grudzień i dni były coraz krótsze. Worek na plecach ciążył coraz bardziej i zdawało się, że waży tonę, a był w nim tylko tzw. „pud" (16 kg). Maria ciągle poganiała, żeby iść prędzej bo się ściemni, a ja już nie miałam sił i nogi odmawiały mi posłuszeństwa. W końcu na horyzoncie zarysował się nieduży pagórek. Ucieszone, że za nim jest już nasza wieś przyspieszyłyśmy kroku. Ale nasza radość znów nie trwała długo, bo z dala usłyszałyśmy tętent, okrzyki i wrzaski. Nadjeżdżali „trojką" pijani młodzi Kirgizi. Ogarnął nas strach. Tak już blisko domu, a tu znowu nieszczęście na nas spada. Minęli nas gwiżdżąc i rycząc jak jakaś dzicz. Jeden z nich krzyknął: „To chyba Polaczki"!! Zamarłyśmy ze strachu. Twarze zakryłyśmy szalami i zaczęłyśmy biec pod górę. Opadłam całkiem z sił i zdecydowana byłam już na wszystko – nawet na śmierć. Maria biadoliła jęcząc głośno: „Mnie już wszystko jedno, jestem stara, ale Ty jesteś młoda i przed Tobą życie". Miałam wówczas 19 lat.

Zmęczone, zastraszone uciekałyśmy, a za nami gnali Kirgizi. Wiadome nam było, że w ciągu tych trzech lat wielu Polaków zostało ograbionych i zamordowanych w stepie przez dzikich Kirgizów, a wiele kobiet pogwałconych.

W końcu worki z ziarnem porzuciłyśmy w stepie i pognałyśmy na górę, aby czym prędzej zobaczyć wieś. Na wzgórzu ukazał się człowiek na koniu. Był to przewodniczący naszego kołchozu – właśnie gonił pijanych mężczyzn, którzy ukradli mu trzy konie. Dzięki temu człowiekowi żyjemy, to on uratował nam życie. Pan Bóg i Matka Boska wysłuchali naszych modlitw i próśb – byłyśmy ocalone.

Do swoich ziemianek powróciłyśmy zmęczone, spocone, głodne i niestety bez naszych cennych zdobyczy tj. bez worków ze zbożem i kartoflami.

Najważniejsze jednak, że w ziemiance czekała na mnie moja mama i brat, którzy cieszyli się tym, że żyjemy i że nic nam złego się nie stało.

Dalej musieliśmy sobie jakoś radzić, ażeby przeżyć ten trudny czas. ❑

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)

Największą arystokracją wśród furmanów byli „rulirowszczyki" (?), którzy obsługiwali siewniki. Ponieważ w obozie prowadzono doświadczenia odmianowe, trzeba było na poletku równo siewnik prowadzić siejąc każdą odmianę 5 razy, a obok inne odmiany także 5 razy. W jesieni każdy gatunek osobno młócono i to osobno ziarna, osobno plewę i słomę. Do każdej odmiany zboża był inny agronom, jeden wysiewał pszenicę jarą, drugi zajmował się owsem, inny prosem itd. Agronomowie byli częściowo więźniami, a częściowo byli to absolwenci szkół rolniczych i przebywali tu na praktyce, a mogli po jej odbyciu pozostać i tu pracować. Wszyscy agronomowie tak więźniowi jak i wolni mieszkali w budynku administracyjnym i korzystali z lepszej i obfitszej kuchni. Prace rozdzielano w ten sposób, że rozmaite małe grupki ludzi pracowały na rozmaitych polach. Robiło to wrażenie jakby się mrówki porozłaziły. Enkawudyści uzbrojeni w karabiny z nasadzonymi bagnetami patrolowali z daleka nie wtrącając się do tego co więźniowie robią i gdzie robią. Byleby nie próbowali uciekać. Pewnego razu zdarzyło się, że ja bronowałem pole a niedaleko mnie grupka ludzi wysiewała na poletku doświadczalnym pszenicę. W pewnym momencie człowiek kierujący siewnikiem zachorował, dostał silnych kurczy żołądkowych, położył się i zaczął jęczeć. Ponieważ to była robota bardzo pilna podszedł do mnie agronom i zapytał czy umiem siewnik prowadzić. Odpowiedziałem „poprobujem". Wyprzągłem swoje konie z bron i wprzągłem do siewnika. Chorego spytano się czy dojedzie na koniu do obozu. Kiedy oświadczył, że dojedzie, wsadzono go na jego konia i pomalutku odjechał. Do obsługi siewnika potrzeba trzech ludzi. Jeden popędza konie, drugi kieruje drążkiem sterowniczym, a trzeci idzie z tyłu i uważa aby się lejki nie zatkały. Agronom czuwa nad całością. Po wysianiu jednej odmiany, a była to jak dziś pamiętam „Stadianówka II" musieliśmy opróżnić siewnik. Jak najbardziej dokładnie wymiataliśmy skrzynię zbożową szczotką i wydmuchiwaliśmy ziarno ze skrzyni i z trybików za pomocą mieszka którym się dmuchało. To wszystko robiło się na rozścielanej płachcie aby nie pomieszać odmian. Potem wsypywano inną odmianę i znowu 5-krotnie wysiewano. Prowadziłem siewnik idealnie równo, agronom był nadzwyczaj zadowolony i opowiedział o tym w biurze. Na drugi dzień przed apelem podeszła do stajennego agronomka i zarządała aby mnie przydzielił do jej dyspozycji. Była to absolwentka szkoły rolniczej w Moskwie. Młoda dziewczyna, ruda i piegowata odbywała tu swój staż. Kazała zaprzęgać do siewnika, gdyż mieliśmy siać proso. Zanim opiszę siew muszę opisać siewnik. A więc wszystkie siewniki, a było ich 6, były jednakowe, miały po 2 metry szerokości, a system wysiewu był trybikowy. Za pomocą dźwigni trybiki albo wysuwały się, albo chowały i w ten sposób wysiewały więcej albo mniej ziarna. Żadnej skali wysiewu nie było, tylko każdy agronom miał blaszkę na sznurku, zwykle zawieszoną na szyi, a na tej blaszce były kreseczki według których do poszczególnych zbóż nastawiano trybiki. Przydzielono nam jeszcze dwóch robotników, jeden do prowadzenia koni, a drugi do kontroli za siewnikiem. Na siewnik władowaliśmy worek z prosem, mieszek do dmuchania, wagę i kłębek sznurka do wyznaczania linii prostej pod pierwszy przejazd siewnika. Wyjechaliśmy w pole, które było dosyć odległe, mieliśmy po prostu zasiać 5 hektarów prosa jako normalny zbiór. Agronomka z jednym pomocnikiem poszła wytyczać ślad, a ja z drugim pomocnikiem przekładałem lejki w siewniku aby wysiać proso w szerokie rzędy do obróbki międzyrzędowej. Nastąpiło wysypywanie ziarna do skrzyni i teraz agronomka miała uregulować siewnik do odpowiedniej ilości ziarna na hektar. Zaczęła szukać blaszki z podziałką najpierw spokojnie, a potem nerwowo coraz prędzej. Blaszki nie znalazła i stanęła zrozpaczona. Do obozu było za daleko aby po blaszkę lecieć, powiedziała: „co ja teraz zrobię". A ja zapytałem czy ma metr? Kiedy odpowiedziała, że ma, powiedziałem: „nie ma zmartwienia, siewnik nastawimy, niech powie ile chce wysiewać na hektar". Odpowiedziała: „20 kg". Powiedziałem, że zrobimy próbę kręconą. Zapytała: „a jak to zrobicie?". „Zaraz pokażę tylko trzeba jakiegoś drążka aby tylne koło podważyć". W pobliżu był mostek, obaj pomocnicy zdjęli a raczej zerwali barierkę, podjęliśmy koło. I teraz sznurkiem zmierzyłem obwód koła, szerokość siewnika i obliczyłem jaką powierzchnię mamy przy obrotach koła. Po kilku próbach ważąc za każdym razem wysiane ziarno na płachcie ustaliłem, że jest już dobrze i możemy zaczynać. Agronomka z niedowierzaniem zgodziła się na wysiew, ale widać było, że jest w strachu. Sialiśmy to proso do południa, po południu mieliśmy siew kontynuować, aż do ukończenia 5 hektarów. Zacząłem wyprzęgać konie kiedy agronomka poleciała już do obozu. W domu czekała mnie przykra niespodzianka, więzień, który swego czasu pożyczył mi „kotiłok" podszedł do mnie i powiada: „dzisiaj minął miesiąc, oddawaj kotiłok". Nie pomogły żaden perswazje, pozwolił mi jeszcze zjeść obiad, a potem blaszankę odebrał. Pomianowski, który to obserwował, podszedł i powiada: „nie martw się, ja ci to załatwię". Po przerwie ruszyliśmy znowu do siewu prosa, agronomka poleciała naprzód. Kiedyśmy nadeszli zobaczyłem rozradowaną twarz agronomki. Przyłożyła jeszcze raz blaszkę do trybików i powiada: „aleście to haraszo obliczyli". Do wieczora skończyliśmy siew. Kiedy przyszliśmy do obozu, czekał na mnie Pomianowski z kociołkiem. Dostałem – powiada – kociołek od blacharzy, obiecałem, że jutro oddasz im twój popielaty sweter. Teraz jest lato, a do zimy mamy czas martwić się. Zgodziłem się oczywiście, gdyż aby żyć, trzeba było jeść. Tymczasem ruda agronomka opowiedziała o mnie w biurze, co wzbudziło zainteresowanie moją osobą. Drugiego dnia po wysiewie prosa, po rannym apelu, przystąpił do mnie agronom, więzień o niemieckim nazwisku, specjalista od maszyn rolniczych i wdał się ze mną w dysputę. Był to człowiek młody, zgrabny, o rysach twarzy wskazujących na Rosjanina. Rozmawialiśmy o maszynach rolniczych. Zapytał mnie czy mamy w Polsce takie siewniki jak ich. Odpowiedziałem, że nie. „A, poczemu". Odpowiedziałem, że takie siewniki od 30 lat nie używane przerosły już pokrzywami. „A jakie macie siewniki?". „Mamy rozmaite, ale szerokość robocza jest co najmniej trzymetrowa. Wasze siewniki – powiadam – są tak toporne zrobione, że głupie nakrętki są 4-kątowe z tak ostrymi kantami, że jak się przy dokręcaniu klucz zerwie, to człowiek boleśnie kaleczy sobie rękę.". Czas było do pracy.

(c.d.n.)

„Album Pałahickie" Henryka Rodakowskiego (c.d.)

Cztery akwarele zatytułowane: *Karczmarz Josio, Roznosiciel telegramów, Gumienny Iwan Bezus, Stajenny Iwan i koń Dickyt* kończą cykl postaci pałahicko-tłumackich.
Opisy obrazów: **Władysław Kozicki** (zachowano oryginalną pisownię).
Wydanie: **Muzeum Okręgowe w Gorzowie.**
Opracowanie: **Małgorzata Kitowska.**

... We wszystkich, z pomocą Kozickiego, opisanych pracach pozostaje Rodakowski nie tylko bystrym obserwatorem, może nawet dokumentalistą, ale jest też konsekwentnym, uważnym psychologiem. Dość spojrzeć na twarze przedstawianych postaci. A jednak dla badacza tego właśnie cyklu ważniejszy pozostaje ów aspekt dokumentalny, gdyż urzeczony barwnością kresowej wsi, stworzył malarz jej portret wycinkowy, ale można sądzić, iż wierny. Być może w formułowaniu tak zdecydowanych sądów należałoby wykazać więcej ostrożności, wszak wieś ukazana przez Rodakowskiego jest wsią widzianą z „pańskiej" perspektywy, wsią która doń przyszła, a ludzie to przede wszystkim służba folwarczna. Przedstawione na kartonach postacie to – mimo typowego wyglądu, rysów twarzy i ubioru – indywidua, które określone zostały konkretnymi imionami.

Nie pokazał Rodakowski pracy chłopów w polu czy w lesie. Stąd mamy podobizny Senia, Nykoły oraz Iwana Bezusia, a nie obraz ludzi w grupie, gdzie tracą oni swe indywidualne rysy. Autorowi pałahickich kartonów chodziło o pozostawienie takiego wizerunku pokuckiej wsi, jaki jemu był znany i bliski. Wszak sam pisał w jednym z listów, kierowanych z Pałahicz na ręce Konstantego Dzbańskiego, sekretarza lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych: *„Co się tyczy akwareli, o których Pan tak grzecznie wspominasz, to nie są one robione na wystawę, tylko szkice, które, jako kolekcja wspomnień, dla mnie mają znaczenie. Bardzo jestem wdzięczny i umiem ocenić pochlebną doniosłość oferty Towarzystwa, by w portfelu umieszczone wspomnienia w szkło oprawić na cel wystawy. Gdyby się te akwarele kwalifikowały, to bym chętnie sam poniósł ten wydatek, żeby im do tego zaszczytu dopomóc".*

Trudno zatem osądzić, na ile ów obraz Pałahicz zrodził się jako efekt modnego wówczas „zwrotu ku ludowości", który u schyłku wieku przybrał kształt fascynacji folklorem a nawet powierzchownej „chłopomanii". Byłby więc „Album Pałahickie" jedynie wyrazem tak rozbudzonych zainteresowań? Czyżby powstał z pewnego rodzaju pobudek snobistycznych? Przeczy temu zarówno autentyzm portretowanych postaci, nieznany malarzom uprawiającym w swej sztuce folkloryzm, jak też rzadka pokora, z jaką pałahickie typy zostały przedstawione. Zdaje się, że prawda była pierwszym i ostatnim celem, jaki Henryk Rodakowski przed sobą postawił. W jej imię ani nie ubarwił swoich modeli, nie wystylizował „na ludowo" ich odzienia, ani też nie przydał ponad miarę „rasowości" ich twarzom czy posturze. Ponadto realizując ten cykl kontynuował artysta tematykę podjętą w swojej twórczości już wcześniej. Miał także jeszcze do niej powrócić.

W kontekście kilkunastu prac artysty o tematyce wiejskiej, w tym kilku poza cyklem pałahickim, za co najmniej nieostrożne należałoby uznać stwierdzenie, że powstanie owych obrazów i rysunków było li tylko przejawem „chwilowych zainteresowań rodzajowo-wiejskich" malarza w odpowiedzi na wybuch realizmu francuskiego i wyrażało jedynie *„czysto zewnętrzne zaciekawienie malowniczością egzotycznego niemal folkloru"* (A. Ryszkiewicz).

Z tej perspektywy „Album Pałahickie" przestaje być w dorobku Rodakowskiego unikalną efemerydą. Zaś temat cyklu, który z łatwością ująć można jako efekt tylko i wyłącznie konieczności, wynik sytuacji i miejsca, w jakich artysta znalazł się, jawi nam się jako podyktowany świadomym wyborem. Dopiero ów temat narzucił autorowi kształt, w jaki miał zostać obleczony cykl. Artysta w imię dochowania wierności prawdzie, starał się być rzetelny. Dlatego otrzymaliśmy poglądową galerię typów zwyczajnych w tej, a nie innej okolicy; stąd widzimy chłopów pokuckich i Żydów zamieszkałych w okolicach Pałahicz.

Jeśli dodamy do tego artyzm opracowania tychże fizjonomii, sprawność dłoni, która nadaje lekkość rysunkowi, wyczucie kolorystyczne, które powoduje subtelność żywej barwy, otrzymamy jeden z bardziej niezwykłych, ogromnie przekonywujących, obrazów kresowej wsi i zamieszkującego ją ludu. Jako taki wart jest ów cykl rewizji poglądów, które po drugiej wojnie światowej kształtowane były głównie przez czarno-białe reprodukcje w monografii Kozickiego. Autor monografii, choć sam był wielkim rzecznikiem twórczości Rodakowskiego, nie potrafił tym samym przekonać do niektórych dzieł malarza wielu badaczy powojennych, którzy pałahickich kartonów nie znali z autopsji. Ich odnalezienie i umieszczenie w zbiorach państwowych, stworzyło szansę zaprezentowania szerokiej publiczności tej – jak poetycko pisał Kozicki – *„rapsodii wiejskiej, dźwięcznej jak poszum wiatru w gałęziach buków, smakowitej jak chleb razowy, nic nie tracącej uroku i dziś nawet, kiedy widzieliśmy tyle kapitalnych postaci ludowych w dziełach Chełmońskiego, Al. Gierymskiego, Wyczółkowskiego, Pautscha, Sichulskiego i Jarockiego".*

Karczmarz Josio 20.12.1867 (nr inw. MOG/II/2297)

Karczmarz Josio o wąskiej, brodatej i pejsatej głowie, gdzie spod jarmułki wygląda szerokie czoło oraz subtelny, bardzo cienki i długi, garbaty nos i oczy, pełne zmęczenia i smutku, już nie osobistego, ale jakby z wiekowej niedoli całej rasy idącego. Josio ani przeczuwa, jakiej dostojnej metamorfozie niebawem ulegnie. Stoi więc sobie w swej karczmie w rogu, pomiędzy okienkiem a oszkloną szafką ścienną, całkiem zwyczajnie, ale co prawda, już w tej samej pozycji, co arcybiskup Tarło w „Wojnie kokoszej", i z cebrzyka opatrzonego nakrywką czerpie chochlą gorzałkę, którą w blaszanej miarce podaje apatycznym ruchem niewidzialenmu gościowi. Josio musi dobrze napracować się i naspekulować, aby zarobić nie tylko na ten swój chałat i na czerwony pasiasty szal, który ma na szyi, ale i na wyżywienie rodziny. Ot tam, w kącie, na ławie, jego żona, stara, brzydka Żydówka, z tępą twarzą, z głową zawiniętą w chustkę, niańczy najmłodszego bachora. A ile starszych biega po świecie! Josio, choć dostarcza chłopom eliksiru wesołości, sam ma życie niewesołe.

Jest jednakże jeszcze beniaminkiem Jehowy w porównaniu z tym nędzarzem, którego artysta przedstawił w następnej akwareli.

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.

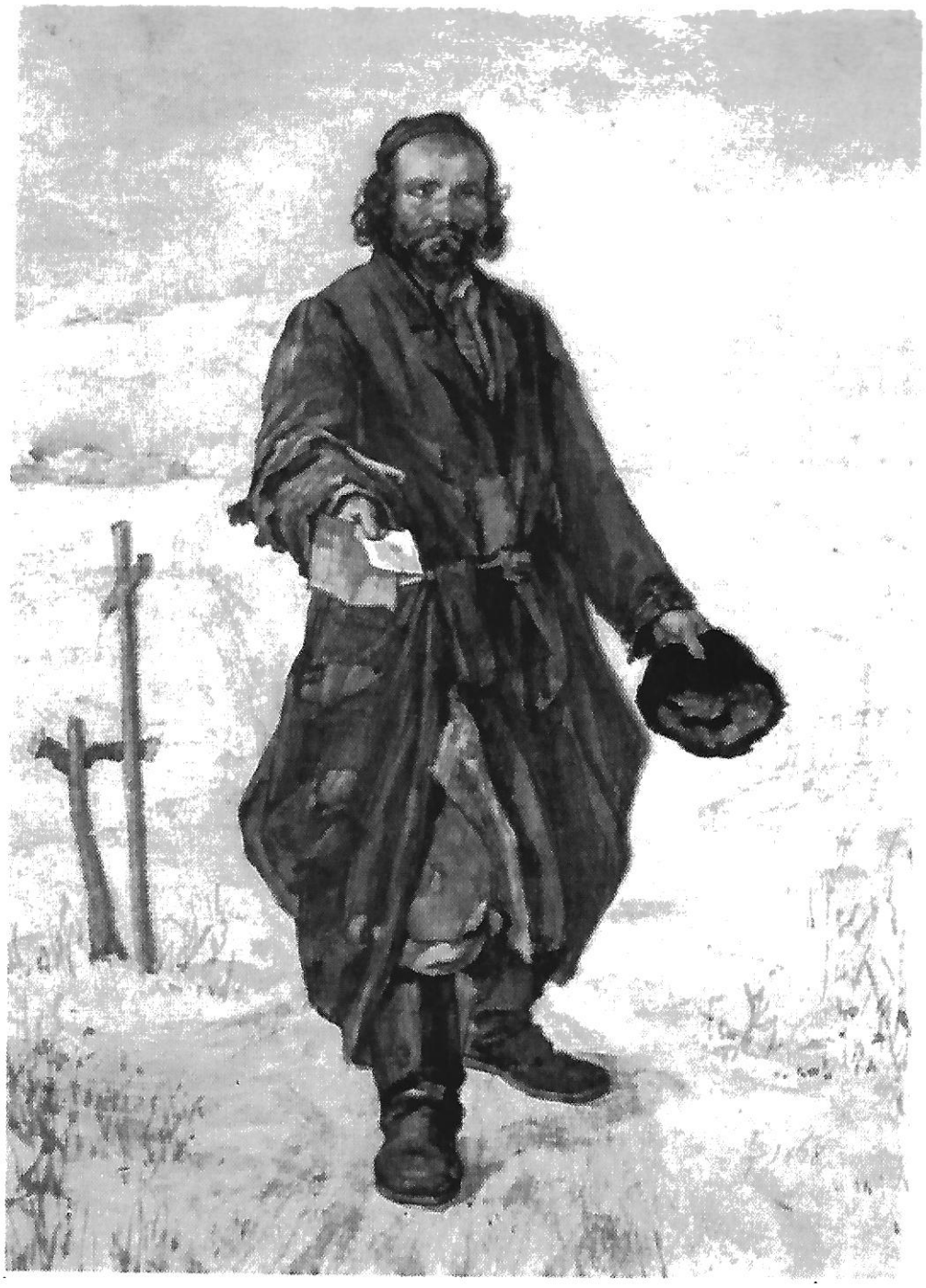

Roznosiciel telegramów 1.01.1868 (nr inw. MOG/II/2299)

To żydowski proletariusz z Tłumacza, roznosiciel telegramów, tak biedny, że nie może sobie pozwolić na założenie najmniejszego nawet handlu, ale utrzymuje się z nędznego zarobku, jaki daje mu roznoszenie telegramów po miasteczku i okolicy. Właśnie dali mu na poczcie depeszę do pałahickiego pana, więc pobiegł z nią do dworu. Ale nie doszedł do celu, bo spotkał adresata na polu przed folwarkiem, przeto wyciąga do niego rękę z telegramem i z arkuszem doręczeń ruchem mimo woli tragicznym. Depesza zapewne niewinna, bo to 1 stycznia, więc zawiera niewątpliwie życzenia noworoczne. Ale on wie z doświadczenia, że ludzie boją się i jego samego i jego telegramów, bo w nich znajdują najczęściej wiadomości o śmierci albo chorobach. Na wszelki wypadek zatem przybrał wygląd poważny, smutny i współczujący, nietrudny zresztą dla niego, bo też jego własne życie płynie wśród wiecznych zmartwień i przeciwności. Ze swoją wielką kocią głową, nakrytą jarmułką i obramowaną brodą i długimi pejsami, z twarzą czerwoną od mrozu, z oczami, w których wyraz przygnębienia powiększa jeszcze lekki zez, z lewą ręką trzymającą nisko opuszczoną czapkę i jakby dodającą minorowy akompaniament do żałobnego motywu ręki prawej, stoi na pustym, śnieżnym polu, szeleszczącym melancholią suchych badyli, prawie groteskowy w bezwględnym realizmie dziur i strzępów obdartego chałata, a zarazem monumentalny i olbrzymi wskutek kontrastu z otaczającą go pustynią śniegu i prawie patetyczny w swej funkcji nędzarza, któremu się zdaje, że przynosi złą wieść. Przez umieszczenie w tle przydrożnego krzyża obok drogowskazu spotęgował jeszcze artysta ten nastrój, który niewątpliwie świadomie wydobył z postaci modela i z beznadziejności chmurnego dnia zimowego.

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.

Gumienny Iwan Bezuś 4.01.1868 (nr inw. MOG/II/2300)

W cztery dni po „Roznosicielu telegramów" sportretował Rodakowski gumiennego pałahickiego Iwana Bezusia. Na tle szeroko rozwartych drzwi gumna oraz bezlistnych drzew stoi on na śniegu obok schodków i szopy, pokrytej zaśnieżoną w tej chwili strzechą słomianą. Ma na sobie biały kożuch z obszernym czarnym kołnierzem baranim, szeroki pas skórzany oraz ciężkie buty, a przed sobą trzyma oburącz barankową czapkę. W jego chudej, wąskiej głowie, wydłużonej jeszcze bardziej przez czerniejący na brodzie, już dawno nieogolony zarost, w długim, ostrym, rasowo pokuckim nosie, w cienkim, na dół opuszczonym wąsie, w piastowskich włosach, spadających prostymi kosmykami na ramiona, a równo przyciętych nad czołem, zwłaszcza zaś w dużych, jakby łzami nabrzmiałych oczach jest jakiś smutek mistyczny, apostolski, prawie Chrystusowy. Iwan ma zajęcie takie, które mu pozostawia dużo czasu do myślenia. Godzinami pilnuje dziewcząt, które w stodole młynkują zboże, zawodząc przy tym tęskne, rozmarzające pieśni. Godzinami je potem dozoruje, gdy oczyszczone już ziarna, srebrne i złote, układają w płaskie a szerokie warstwice, dokładnie prostokątne lub kwadratowe. Marzy więc i myśli, filozofując po swojemu, prosto, ale bynajmniej nie płytko. Myśli o życiu i śmierci, o przemijaniu wszystkiego, o znikomości, która jest, i o wieczności, której się pragnie. Z tych rozmyślań narodził się ten jego smutek, stały i nieuleczalny, który wymodelował jego rysy i postawę. Gumienny Iwan – to jedna z najbardziej zdumiewających psychologicznych rewelacji, jakiej dokonał Rodakowski.

Takim to głębokim akordem zakończył artysta na razie serię typów „Albumu pałahickiego".

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.

Stajenny Iwan i koń Dickyt 16.03.1868 (nr inw. MOG/II/2302)

Dopiero po dwu miesiącach dodaje jeszcze jedną, jedenastą z rzędu akwarelę, tym razem o pogodnej tonacji uczuciowej, pełną mocnego, choć utajonego witalizmu. Jest oto przedwiośnie. Śnieg już stajał, ale nie zazieleniły się jeszcze pagórki ani równiny. W miejsce zimowej martwoty wszędzie szmery i ruchy budzącego się życia. Rzeźko szeleści woda w koleinach dróg, w rowach i brózdach, w powietrzu wiosenne podmuchy. Rozprostowują się ciała zwierząt i ludzi, jasność i ciepło wstępują w ich dusze. Stajenny Iwan wyprowadził ze stajni okrytego pasiastą derką wierzchowca artysty, Dickyta, ładnego gniadosza, stąpającego zgrabnie na wysokich, smukłych nogach. Obaj są jakby zachłyśnięci wiosną. Dickyt głęboko wciąga powietrze w rozdęte chrapy i bystro patrzy w dal, strzygąc czujnie małymi uszkami. Iwan zwraca w tę samą stronę swoją rasową, solidnie wyrzeźbioną, przystojną głowę, ozdobioną pokrętnym wąsem i przykrytą czapką z siwego baranka. Choć w jego dużych rozmarzonych oczach smęci się jeszcze nieodrodna ukraińsko-słowiańska tęsknota, w całej postaci, kształtnej pomimo ciężkich butów i sztywnego, brązowego petyka podbitego kożuchem, w dziarskim wysunięciu naprzód prawej nogi i w zuchowatym wsparciu w bok lewej ręki jest coś wiosennie tanecznego, a zarazem śpiewnie przedsiębiorczego, rzec by się chciało – junackiego.

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża

Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Stosunek do uczniów innowierców i nie-Polaków

Jak napisałem już ks. Doktor kochał nade wszystko na ziemi Kościół katolicki, a po nim Polskę. Jej dzieje, obyczajowość, kulturę. I zapewne te dwa wielkie umiłowania przesłaniały Mu wartości mieszczące się gdzie indziej.

Stąd Jego stosunek do uczniów Żydów był niechętny. O stosunku do Żydów w ogóle powiedziałem już wcześniej. Domyślam się, że gdyby to leżało w Jego możliwościach, utworzyłby w Tłumaczu odrębną szkołę, w której umieściłby uczniów Żydów przeniesionych z naszego gimnazjum, a tam, w programie wychowawczym przypisałby uczyć Żydów szacunku dla Polaków-katolików, w których kraju mieszkają i dzięki którym nie jadają jałowego chleba. Ksiądz był bowiem bardzo czuły na żydowskie sobiepaństwo....

Stosunek Księdza do Rusinów, chociaż niechętny, miał inne zabarwienie. Ksiądz nie przypisywał im inteligencji, perfidii; widział u nich głęboko zakorzenione urazy wobec Polaków, wynikające z poczucia mniejszej wartości, prymitywną, brutalną siłę. Znając dokładnie rodowód antagonizmów rusko-polskich, winę za nie przypisywał Austrii, która w czasie zaborów judziła jeden naród słowiański przeciw drugiemu, aby obydwoma łatwiej rządzić. Dziwił się, że Rusini nie pojmowali tego dawniej i nie chcą zrozumieć dzisiaj. Raził Księdza prymityw, nieokrzesanie Rusinów, ich brak kultury i cywilizacji. Z tego powodu, do pewnego stopnia lekceważył Rusinów, co nigdy nie występowało w Jego odnoszeniu się do Żydów.

Jeżeli, prowadząc lekcje w zastępstwie nieobecnych innych profesorów miewał kłopoty z Żydami, którzy bywali wobec Niego złośliwi i agresywni, z uczniami Rusinami takich trudności nie miał. Ci byli na ogół grzeczni, posłuszni, nigdy Go nie atakowali. Toteż Ksiądz traktował ich poprawnie, na równi z nami. Wszyscy nowoprzyjmowani do gimnazjum uczniowie byli poddawani egzaminowi. Pytał również Ksiądz. W związku z tym przypomina mi się taka scenka. Koło budynku, na korytarzach plączą się mali chłopcy, którzy po raz pierwszy tutaj się znaleźli. Co chwilę jakiś nauczyciel wywołuje po nazwisku jednego z nich celem przepytania. Zjawia się i Ksiądz. Podchodzi do pierwszego napotkanego chłopca i, chcąc się dowiedzieć, czy ma z nim odbyć egzamin wstępny, pyta:

– A ty polski, czy ruski?

Charakterystyczne dla ks. Witkowskiego sformułowanie. Niby po polsku, a przecież niepoprawne, niby chcące dotrzeć do sedna rzeczy, a przechodzące jakoś bokiem. Tego rodzaju zapytania, wypowiedzi Ksiądz lubił stosować wobec uczniów. Może chciał w ten sposób zbliżać się do chłopców, tych zwłaszcza, którzy nie władali jeszcze sprawnie literackim językiem. Ale zamiast tego ewentualnego zbliżenia, Ksiądz wywoływał u chłopców dezorientację i zakłopotanie. W konkretnym, przytoczonym pytaniu chodziło jeszcze Księdzu o pewne podkreślenie różnicy między uczniami Polakami a Rusinami. Jeżeli jesteś Polakiem, ja ciebie będę pytał. Ja – jak widzisz – porządnie prezentujący się kapłan łaciński, do którego zwracają się per Ksiądz Doktor. Jeżeli jesteś Rusinem, szukaj sobie swojego katechety i przekonaj się, jak jest różnica między mną a nim.

Ks. Pławiuk sprowadził z Portugalii do Tłumacza figurę Matki Boskiej Fatimskiej, wierną kopię tej, jaka znajduje się w miejscu objawień. Jej wprowadzenie do kaplicy w bursie ruskiej, gdzie miała odtąd stale przebywać, odbyło się w sposób uroczysty. Procesjonalnie niesiono ją z parku miejskiego do budynku bursy przy ul. Słowackiego. Później, w określonych dniach, odbywały się tam nabożeństwa maryjne, na które uczniowie Rusini zapraszali z inicjatywy ks. Pławiuka swoich kolegów Polaków. Nas znowu ks. Witkowski zachęcał, abyśmy poszli do ruskiej bursy i pokłonili się tam Matce Bożej z Fatimy. Przypominam sobie, że coś jeden raz nawiedziłem „Seliańskyj zachyst" w towarzystwie swoich przyjaciół. Bursacy-Rusini witali nas radośnie i okazywali zadowolenie z naszego przybycia.

Stosunek ks. Witkowskiego do duchowieństwa grecko-katolickiego

Współżycie naszego Księdza z ks. Pławiukiem było przykładne, kapłańskie. Gdy ks. Witkowski chorował, ks. Pławiuk chętnie Go zastępował i prowadził z nami lekcje religii. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba pozostawali wtedy w klasie również Rusini. Na takich lekcjach ks. Pławiuk posługiwał się językiem polskim, którym władał, jak zresztą wszyscy piśmienni – nie tylko wykształceni – Rusini zupełnie poprawnie.

Z natury rzeczy stosunki ks. Witkowskiego z tłumackim ruskim proboszczem ks. Ripeckim były luźniejsze, ale zawsze takie, jakie być winny między duchownymi. Obserwowałem je bliżej z okazji uroczystości św. Józefata, kiedy to nasz Ksiądz, o czym już wspominałem, celebrował w cerkwi. Przypuszczam, że współżycie z ks. Ripeckim mogło być dla księdza Polaka łatwiejsze nawet niż z ks. Pławiukiem ponieważ ruski paroch nie był ukraińskim nacjonalistą, ani tym bardziej szowinistą. Słyszałem o tym od Ojca, który cenił ks. Ripeckiego za jego lojalną postawę wobec Państwa Polskiego. Chyba też Ojciec mówił mi, że ks. Ripecki wywodził się z rodziny polskiej. Jego nazwisko w oryginalnej wersji brzmiało Rzepecki. Nie pamiętam, czy ojciec ks. Ripeckiego, czy on sam, przeszedł podobno na obrządek grecki ze względu na możliwość zawarcia w nim związku małżeńskiego. Syn ks. Ripeckiego chodził ze mną do jednej klasy. Był to dobrze ułożony chłopiec, koleżeński, uzdolniony zwłaszcza w językach klasycznych. Podczas egzaminu maturalnego chętnie pomagał kolegom mającym trudności z przetłumaczeniem tekstu łacińskiego. W odróżnieniu od swego ojca posiadał już zacięcie nacjonalistyczne.

Z okolicznymi księżmi grecko-katolickimi ks. Witkowski nie miał żadnej łączności. W ogóle ich nie znał. A widywało się ich czasem w Tłumaczu, gdy przychodzili tu dla załatwienia swoich spraw. Ja lubiłem obserwować dwóch z nich, którzy przechodzili zawsze ulicą Słowackiego, wracając do

swych wsi. Jeden może był z Łokutek, drugi z Pałahicz. Wyglądali bardzo biednie i zaniedbanie. Spod zniszczonego, wyrudziałego płaszcza w kolorze niegdyś czarnym wychodziła postrzępiona sutanna sięgająca do połowy zabłoconych cholew, które mieli na nogach. Jeden z księży przepasywał się jakby grubym powrozem zawiązanym na przedzie w węzeł. Na głowie mieli czapki nieokreślonego kształtu, a zimą futrzane kuczmy, wytarte, zniszczone przez mole. Obydwaj korzystali z lasek, wystruganych z jakiegoś grubego kija. W rękach trzymali mocno sfatygowane teczki przewiązane sznurkiem. Nieraz długo za nimi patrzyłem z balkonu naszego mieszkania. Usiłowałem sobie wyobrazić wiejskie, ruskie plebanie, w których mieszkali, ich zajęcia w długie jesienne wieczory, gdy na dworze pada deszcz, a błoto jest tak wielkie, że wyjść za próg nie można. Trzeba siedzieć przy naftowej lampie w małej izbie. Patrzyłem okiem wyobraźni na drewniane, kopulaste cerkwie tych księży, w których celebrowali w obcym mi języku liturgię wschodnią. Oglądałem w myśli ich kościelne szaty, słuchałem chóralnych śpiewów, bicia dzwonów, wąchałem zapachy hojnie rzucanego na żar kadzidła. Chciałem kiedyś znaleść się na dzień, dwa w ruskiej plebanii na wsi, pomodlić się razem z chłopami w cerkwi, pośpiewać podczas Służby Bożej.

Ks. Witkowski mógł znacznie łatwiej ode mnie zaspokoić takie pragnienie, gdyby je posiadał. Ale On nie wykazywał żadnych zainteresowań katolickimi parafiami Rusinów.

Zdołałem jednak wzbudzić w Nim ciekawość poznania Pohonii, wsi leżącej w powiecie tłumackim, w odległości kilku kilometrów od Tyśmienicy.

Sam dowiedziałem się o jej istnieniu z książki jezuity o. A. Fridricha opisującej łaskami słynące obrazy Matki Boskiej na terenie Polski. Książka ta znajdowała się w naszej bibliotece sodalicyjnej. O. Fridrich informował, że „w powiecie tłumackim leży wieś Pohonią zwana", a w niej monaster OO Bazylianów posiadający w swojej cerkwi cudowny obraz Matki Bożej. Zapaliłem się do poznania tego miejsca. Po uzyskaniu od Ojca potrzebnych danych i po przestudiowaniu mapy powiatu tłumackiego wybrałem się w pewien słoneczny, wiosenny ranek pieszo do Pohonii. Do Nadorożnej drogę znałem, bo jeździliśmy do tej wsi na różne obchody i uroczystości, m.in. na poświęcenie kościoła. Za Nadorożną rozciągała się terra ingognita dla mnie zupełnie. Ale ładna. Lesista, wonna, pełna rozśpiewanego ptactwa. Gdzie lasy zaczynały się kończyć, w wąwozie leżała mała, biedna wioska, właśnie Pohonia. Już za nią, opierając się o drzewiaste wzniesienia stał parterowy, o bielonych ścianach monaster – długi dom z drewnianym gankiem, a na trawniku przed nim znajdowała się cerkiewka. Bez kopuły, tylko z sygnaturką. W jej wnętrzu o łacińskim raczej charakterze, w głównym ołtarzu za ikonostasem wisiał obraz, który mnie sprowadził do Pohonii. Przesłaniała go ruchoma zasłona. Twarz Matki Boskiej łagodna, jakby lekko uśmiechnięta, daleko odbiegająca od surowości oblicza bizantyjskich Madonn. Korpusy Maryi i Dzieciątka pokrywały posrebrzane i pozłacane deski wyrżnięte w kształcie sukienek sporządzonych ze szlachetnego metalu, które niegdyś zdobiły obraz, zanim zrabował je, razem z cennymi wotami, dekret Józefa II.

Później byłem w Pohonii jeszcze kilka razy. Już nie sam, ale ze swoimi najlepszymi kolegami sodalisami. Pewnego dnia zdołałem również namówić ks. Witkowskiego do poznania Pohonii. Wybraliśmy się w czwórkę pociągiem do Tyśmienicy, a stamtąd już pieszo do Pohonii. Księdzu, podobnie jak wcześniej mnie, Pohonia przypadła do gustu. Rozpoczął jej zwiedzanie od przedstawienia się przełożonemu monasteru, którego tytułował ihumenem. Nasze przybycie do klasztorku wywołało ożywienie mieszkających w nim kilku ojców i jednego brata. Pamiętam, że nazywał się on Hilary Smiłka. Wszyscy chcieli zamienić bodaj kilka zdań z naszym Księdzem. Konwersacja toczyła się w domu przy cerkwi, gdzie Ksiądz celebrował, później w jadalni, bo poproszono nas na śniadanie. Zakonnicy mówili płynnie po polsku, chociaż z ruskim akcentem. Podobało się mi, że ks. Witkowski traktuje ich po bratersku, w najlżejszym stopniu nie zaznacza swej wyższości, ocenia ich życzliwość i gościnność. Żal mi było, że Ksiądz nie przestaje w takiej formie z tymi ruskimi proboszczami, którzy mieszkają najbliżej Tłumacza.

Już sami poszliśmy ponownie do cerkwi. Wtedy Ksiądz obejrzał ją dokładniej. Zwrócił nam uwagę na polskie napisy widniejące nad obrazami w bocznych ołtarzach. Zapamiętałem słowa napisane obok obrazu św. Pafnucego, pustelnika, przedstawiającego jego pogrzeb:

Ciało ziemi, z Pafnucym, z czcią oddają zwierzęta,
A dusza jego przez aniołów jest do nieba wzięta.

– Aż mnie dziwi, mówił ks. Witkowski, że Rusini jeszcze nie zamazali tego napisu. Ale przyjdzie jakiś nowy ihumen, młody nacjonalista i farbą zamaluje polskie słowa, aby śladu nie było w cerkwi po Polakach. Ile w podobny sposób Rusini zniszczyli pamiątek polskiej kultury na tych ziemiach.

Jakąś grozą przejęły mnie te słowa. I bólem, że nasze polskie władze nie potrafią powstrzymać tego procesu.

Jeszcze długo po wycieczce do Pohonii powracałem do niej w swoich rozmowach z Księdzem, który zawsze przyjemnie wyrażał się o tamtejszych Bazylianach (...)

(c.d.n.)

Szanowna Redakcjo!

W „Zeszytach Tłumackich" Nr 4 (12) 98 przekazałem informację o cerkwi w Pohonii. Obiecałem też, że podejmę próbę zdobycia informacji o losie obrazu Matki Bożej, który niegdyś tam się znajdował. Długo to trwało, ale w końcu udało się! Niedawno otrzymałem obrazek Matki Bożej, którego kopię przesyłam.

Wizerunek jest całkowicie zgodny z opisem jaki podawał ks. Jeżowski („ZT" 3 (11) 98): *„Nie był (obraz) zbyt duży, ale naprawdę piękny! Matka Boża trzymała na lewej ręce, nachylając się ku Niemu, Dziecię, które swoją dłoń wyciągnęło do Niej. Wyraz twarzy Marii przypominał sztukę włoską (...), nie miał nic wspólnego z surowością bizantyjskich ikon".*

Mam nadzieję, że ks. Jeżowski będzie usatysfakcjonowany. Wyrażona przez niego nadzieja, że w nowej cerkwi *„ponownie zacznie odbierać cześć obraz pohońskiej Matki Bożej"* spełniła się.

Łączę wyrazy szacunku.

Tadeusz Pelikan

Sagi rodzinne

Moje korzenie, moja tożsamość

Adam Biliński

W nocy z 31 grudnia 2000 na 1 stycznia 2001 pożegnaliśmy stary rok, a przywitaliśmy nowy, wchodząc zarazem w nowy wiek, nowe tysiąclecie. W tak podniosłej chwili na pewno każdy z nas zastanawia się nad swoim istnieniem. Być może wielu zaczęło takie rozważania jeszcze wcześniej, próbując odnaleźć swoje miejsce w świecie i spojrzeć na własne życie z lotu ptaka.

Wszyscy jesteśmy Polakami, reprezentantami wspaniałej kultury, posiadaczami najburzliwszej, a zarazem najpiękniejszej historii, wreszcie spadkobiercami starej tradycji wplecionej w dzieje narodu. A wszystko to wiąże się nierozerwalnie z naszymi ukochanymi Kresami Wschodnimi, które odebrano nam po II wojnie światowej.

Ja, nie chcąc zagubić tożsamości narodowej postanowiłem odtworzyć dla siebie i dla potomnych historię mojej rodziny. Wszystko to, co wydawało się, że bezpowrotnie przeminęło, ożyło, aby świadczyć o moich polskich korzeniach i kresowo-tłumackim pochodzeniu mojego rodu. W tym wszystkim bardzo pomaga mi lektura „Zeszytów Tłumackich", dzięki którym mogę realistycznie wyobrazić sobie, jak wyglądało życie moich przodków w tej niezwykłej społeczności, której przecież i oni byli współtwórcami. Nie tylko w dwudziestoleciu międzywojennym, ale i znacznie wcześniej. Bowiem w swoich poszukiwaniach doszedłem do początku bytności moich przodków w Tłumaczu.

Ta pierwsza rodzina to Kajetan Biliński, syn Mikołaja oraz jego żona Zofia, z domu Saduniewska wraz z dziećmi urodzonymi w kolejności: Franciszek Wincenty 1768 r., Katarzyna 1770, Stanisław Franciszek 1772, Teresa 1774, Adam 1776, Antoni 1779, Józef 1782, Anna 1784, Jakub 1786 oraz Agnieszka 1791. Oprócz nich było w Tłumaczu jeszcze kilka innych rodzin Bilińskich, być może spokrewnionych, albo i też nie.

Przybyli tu oni z pewnością, tak jak i inni obywatele, po którymś z przywilejów królewskich, nadanych w celu ponownego ożywiania miasta, które było wiele razy napadane i niszczone przez obce wojska. W każdym bądź razie pierwsze wzmianki o Bilińskich w Tłumaczu pochodzą z początku drugiej połowy XVIII w.

W roku 1772 nastąpił pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej, dokonany przez trzy państwa: Rosję, Prusy i Austrię. Miasto Tłumacz znalazło się pod wpływami tego ostatniego.

Szybko się okazało, że jeśli szlachta chce utrzymać swą uprzywilejowaną pozycję, a należy do niej także ród Bilińskich, musi przeprowadzić wywody szlachectwa. Prawny ich sposób określiły dwa patenty cesarskie, jeden Marii Teresy z dnia 13 czerwca 1775 r., odnoszący się do organizacji Stanów Krajowych i drugi Józefa II z 20 stycznia 1782 r. wprowadzający Stany Krajowe w Galicji oraz kilka późniejszych patentów i rozporządzeń. Na podstawie tych dokuemntów szlachta została podzielona na dwa stany: panów (magnatów) i rycerstwo. Do panów zaliczono hrabiów, baronów i książąt. Moi przodkowie należeli do kręgu rycerstwa i zaraz po wydaniu cesarskich patentów przystąpili do działania. Nie było to specjalnie trudne, gdyż należało przedstawić tylko zaświadczenie trzech miejscowych magnatów, wyciąg z ksiąg sądowych, w którym była mowa o zainteresowanym lub jego wstępnych, a także wzmianki z herbarzy. Jako „klasyczne dzieło heraldyczne" był uznawany herbarz Kaspra Niesickiego, dowodem szlachectwa było również posiadanie dóbr tabularnych. Jednakże to ostatnie nie zawsze wystarczało do uzyskania zatwierdzenia staropolskiego szlachectwa.

Mój antenat, Kajetan Biliński, poradził sobie bez trudu, szybko zebrał potrzebne dokumenty i już w grudniu 1782 r. wszystko miał za sobą. Cała sprawa odbywała się w Buskim Sądzie Ziemskim (Busk k. Lwowa). Wciąż zastanawia mnie miejsce, dlaczego tak daleko od Tłumacza? Przecież mógł to uczynić w Haliczu, w którym również działał Sąd Ziemski... A jednak istnieje wytłumaczenie. Prawdopodobnie przyjechali oni do Tłumacza (Kajetan i Zofia) jako młode małżeństwo właśnie z tamtych rejonów. Dowodem na to może być fakt, iż do udowodnienia szlachectwa rodzina potrzebowała wyciągów z ksiąg sądowych. Jeżeli rzeczywiście tam mieszkali, to poszukiwane informacje mogły znajdować się jedynie w księgach Buskiego Sądu Ziemskiego. Skoro więc tam się udali, od razu załatwili sprawę legitymacji. Poza tym w tłumackich księgach metrykalnych brak jest wzmianki o ich ślubie.

W dziesięć lat po tym wydarzeniu dzieci tegoż Kajetana i Zofii z d. Saduniewskiej wystąpiły o potwierdzenie szlachectwa „na papierze". Starali się o to synowie, niestety Adam i Antoni zmarli młodo. Córek nie wpisywano do takich pism, gdyż one wychodząc za mąż zmieniały nazwiska. Ich losy nie są mi znane. Pozostali więc: Franciszek Wincenty, Stanisław, Józef i Jakub, którym 31 stycznia 1793 roku zrobiono odpis archiwalny i potwierdzono tym szlachectwo.

Dokument ten, dzięki Bogu, przetrwał do dziś w naszej rodzinie, a od pokoleń nazywamy go po prostu „herbem".

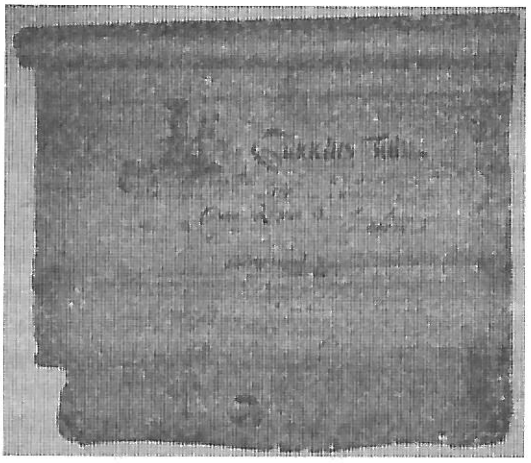

„Herb" Bilińskich – dokument potwierdzający szlachectwo z 31.01.1793 roku.

Był on wystawiony na tych czterech braci, których ojciec jest moim przodkiem w prostej linii.

Dzięki staraniom mojej cioci, Ludmiły Filusz-Tchorz, został on w ubiegłym roku przetłumaczony z języka łacińskiego na polski, co przybliżyło nam historię rodziny w tym okresie oraz pozwoliło na odnalezienie naszych przodków w herbarzach.

Informacje, jakie zawiera nasz dowód pochodzenia są następujące:

„Wyciąg archiwalny z Księgi Godności z tomu 15, strona 370, nr 29250 z przedłożonego dokuemntu (w dniu) 27 grudnia 1792. Opłata uiszczona (i wpisana) pod numerem 6785, (dnia) 31 stycznia 1793 r.

Cesarsko-Królewski Sąd Ziemski w Busku na prośby szlachetnych Franciszka Wincentego dwoja imion oraz Stanisława Józefa i Jakuba Bilińskich braci rodzonych zamieszkujących w Okręgu Halickim, niniejszym (pismem) zaświadcza: Skoro szlachetni Franciszek Wincenty dwoja imion Stanisław Józef i Jakub Bilińscy Tarasewicze bracia rodzeni, po ponownym przedłożeniu przed obliczem ich sądu autentycznych dokumentów, potwierdzili swe szlachectwo do (pokolenia) dziada i na tej podstawie po przedłożeniu tych dokumentów, zażądali potwierdzenia poświadczonego szlachectwa, wobec tego tutejszy Sąd po obejrzeniu i należytym zbadaniu tychże dokumentów, niniejszym pismem zaświadcza, że ci szlachetni Franciszek Wincenty dwojga imion Stanisław Józef i Jakub Bilińscy Tarasowicze są synami śp. szlachetnych Kajetana i Zofii Bilińskich prawowitych małżonków, wnukami zaś śp. Mikołaja Bilińskiego, i że zarówno wcześniej jak i po odzyskaniu tych godności, byli zaliczani w poczet szlachciców i cieszyli się i do dziś się cieszą herbem Sas.

Dane w Busku na posiedzeniu Sądu w piątek, czyli w dniu i miesiącu grudniu 1782 roku.

Jan Nepom(ucen) z Głogowa Głogowski podsędek ziemski w Busku, Józef z Kropiwnickich komornik ziemi buskiej, Stanisław Krupka Przedawski zarządca i asesor.

M(iejsce) p(ieczęci).

(Dokument) należy wpisać do ksiąg urzędowych. Orzeczenie (wydane) na naradzie Cesarsko-Królewskiego Prowincjonalnego Sądu dla Szlachty we Lwowie dnia 19 stycznia 1793 . Jan de Buday sekretarz. Potwierdzili własnoręcznie Ant(oni) Weltz, Gumowski i Jaworski."

Dokument ten jest przekazywany zawsze z ojca na najstarszego syna, znajduje się już ponad dwieście lat w naszej rodzinie, starannie przchowywany i ochraniany. Chociaż w samej Galicji do roku 1804 wydano podobnych 10 653, a razem z innymi, z pozostałych prowincji (Lodomerii i Bukowiny), było ich 14 699, dziś ten nasz jest pewnie jednym z mielicznych, jakie ocalały.

Najstarszym znanym mi przodkiem w chronologicznej kolejności jest Józef Biliński. Był on najpewniej synem Franciszka Wincentego, ale możliwe jest, że był to ten sam Józef – brat Franciszka Wincentego. Żeby to rozstrzygnąć czynię starania w celu uzyskania stosownego dokumentu metrykalnego. Tenże Józef wziął sobie za żonę Teklę z D. Buniowską i miał z nią syna Wojciecha, który urodził się ok. roku 1820.

Kiedy mój praprapradziadek osiągnął odpowiedni wiek, ożenił się z panną Julianną Zdanowicz, córką Jakuba Zdanowicza i Tekli z d. Cieżewskiej. Ich rodzina też miała pochodzenie szlacheckie, co potwierdza metryka urodzenia syna Wojciecha i Julianny, Leona. W ogóle wszystkim „herbowym" zaznaczano w tym czasie, w dokumentach i aktach ich pochodzenie, co było jednym z ich praw. Jak już wspomniałem Wojciechowi urodził się syn, któremu nadano imię Leon. Było to 9 kwietnia 1850 r. Chrzest dziecka odbył się w tłumackim kościele (jeszcze drewnianym). Cała rodzina mieszkała w domu pod numerem 129. W tym domu będzie kiedyś mieszkał wnuk Wojciecha, Józef z żoną Klementyną i dziećmi do końca II-giej wojny światowej. A miejsce, w którym jest on położony będzie w przyszłości parcelą przy rogu ulic Sobieskiego i Plebańskiej.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych XIX w. Leon stał się poważnym kawalerem i powoli zaczął poszukiwać kandydatki na żonę. Nie trwało to długo, gdyż wkrótce ożenił się z Joanną Kurylak, córką Piotra i Marii z d. Kowalskiej. Pewna tłumaczanka tak była urzeczona tym ślubem, że wiele lat później streściła go w słowach: „Spod strzechy – karocą..." Coż to miało znaczyć? Można się tylko domyślać. W każdym bądź razie od dnia tego pięknego ślubu na świat zaczęły przychodzić ich dzieci: Maria ok. 1880, Feliks 1881, Józef 1888 i inne. Razem dwanaścioro, ale tylko ta trójka przeżyła. Dom, w którym mieszkali Bilińscy posiadał wówczas numer 185. Widać wciąż jeszcze nie było wprowadzonych nazw ulic w Tłumaczu.

Feliks Biliński, s. Leona. V. 1915 r.

Prawdopodobnie Leon Biliński, s. Wojciecha. Ok. 1909 r.

W tym samym czasie Wojciech Biliński, ojciec Leona, sprawował w mieście publiczne funkcje. Wiemy o tym z przekazów ustnych, ale ja chciałbym odnaleźć na to dokumenty. Wedle tego, co przypominali sobie wnukowie Wojciecha, mój przodek miał kilka zasług dla miasteczka i jego mieszkańców, a w szczególności dla tłumackich gospodarzy, których problem wyglądał następująco: Ówczesny właściciel cukrowni, p. Bredt, zaczął wykupywać ziemie wokół Tłumacza, w tym także tzw. „Stawiska", łąki, na których bezrolni lub małorolni wypasali swoje bydło. Kiedy to nastąpiło, chłopi zaprotestowali i zwrócili się do burmistrza. Wojciech postanowił więc „poruszyć niebo i ziemię", żeby tylko im dopomóc. Zabrał swój rodowy dokument – herb i wyruszył do Wiednia.

Tam zatrzymał się u swojego dalekiego krewnego, ministra skarbu Austro-Węgier, Leona Bilińskiego (1846-1923), który zainicjował audiencję u cesarza

Franciszka Józefa I. Mój przodek przedstawił władcy sytuację, jaka zaistniała w Tłumaczu, a ten napisał list do p. Bredta z nakazem oddania „Stawisk". Poten już nigdy te łąki nie znalazły się w niczyim prywatnym posiadaniu.

O tym doniosłym czynie mojego przodka pamiętali jedynie jego wnukowie. Kiedy umarł, był rok 1895. Pochowany został na tłumackim cmentarzu w rodzinnym grobie. O jego żonie, Juliannie, nic bliżej nie wiadomo. Pewnie zmarła w młodości, w końcu mieli tylko jednego syna – Leona.

Śmierć Wojciecha kończyła pewien okres w dziejach rodziny. On, jako senior rodu, mógł wiele pamiętać z jego najwcześniejszych dziejów, choćby z opowieści, jakie słyszał od swoich rodziców i dziadków. Niestety, tak już bywa, że jeśli w odpowiednim czasie nie znajdzie się „człowiek – kronikarz", to wiele z tych historii rodzinnych odchodzi w zapomnienie i nie można już ich w żaden sposób odtworzyć...

Pod koniec XIX w. dzieci Leona: Maria, Feliks i Józef Bilińscy zaczęli dorastać i wstępować w okres młodości. Chłopcy jednak wciąż byli wielkimi figlarzami. Ich żarty były czasem wręcz makabryczne. Jak np. porwanie karawanu i urządzenie wyścigów w mieście, co spowodowało ogólne przerażenie wśród jego mieszkańców. Dom Leona i Joanny był często nawiedzany przez jej brata, księdza Kurylaka, który pozostawiał w nim część swojej garderoby, co też stało się przyczyną pewnych zabaw młodzików... Portret tego księdza pozostał do dziś w naszej rodzinie jako jedna z nielicznych ocalałych pamiątek tamtych czasów.

Ksiądz Kurylak. Zdjęcie sprzed I wojny światowej

Po roku 1900 Maria Bilińska została poślubiona panu Putzlacherowi. Było to dobre zamążpójście, dzięki niemu wyjechała do Stanisławowa i razem z mężem zamieszkali w pięknej willi. Wuj Putzlacher prowadził tam kino, które nazywało się „Urania" bądź „Olimpia". Przez pewien czas miał także kino w Tłumaczu, ale zrezygnował, gdyż chyba nie przynosiło dochodów. Maria urodziła mężowi dwójkę dzieci: Kazimierza i Jankę, których wykształcili na inteligentnych ludzi.

W 1905 r. mój pradziadek Feliks osiągnął pełnoletność (24 lata) i zaczął przygotowywać się do założenia własnej rodziny. Nie minęło wiele czasu, gdy zakochał się na dobre w urodziwej pannie Helenie Petrus, której rodzice, Antoni i Maria z d. Szydłowska, sąsiadowali z państwem Bilińskimi. Do ślubu doszło 13 marca 1909 r., po podpisaniu wcześniejszej umowy przedślubnej, w której obydwie rodziny zobowiązywały się do wydzielenia narzeczonym ich własnej ziemi, na której założą swe przyszłe domostwo. Zatwierdzeniem tej umowy była uchwała CK Sądu Powiatowego II w Tłumaczu z dnia 8 stycznia 1910 r.

Ten (1909) rok rozpoczął się dla młodego małżeństwa pomyślnie. Feliks rozpoczął budowę domu i budynków gospodarczych, które były drewniane, Helenka zaś znalazła się w stanie błogosławionym. Niestety koniec roku okazał się smutny dla rodziny. Zmarł bowiem ojciec, Leon, i to w same święta Bożego Narodzenia, 26 grudnia. Później nie działo się lepiej. Pierwsze dzieci Filka i Helenki: Marianek i Józia szybko zmarły.

Tymczasem i sytuacja w Europie nie była wesoła. Wszyscy mówili o nadchodzącej wojnie, której jednak wciąż nie było, aż do tego strasznego dnia... 28 czerwca 1914 r. w Sarajewie został zastrzelony arcyksiążę Franciszek Ferdynand Habsburg, następca tronu austriackiego. W kilka dni później rozpętała się w Europie wojna, jakiej świat jeszcze nie widział.

Początkowo armia austriacka ponosiła same klęski, co spowodowało wzmożony nabór do wojska. Wezwanie takie otrzymali również obydwaj bracia Bilińscy: Feliks i Józef. Ten pierwszy zdołał jednak je odroczyć z powodu konieczności opieki nad żoną, która znowu była w stanie błogosławionym. Na front Józef udał się więc pod przymusem, aby bronić państwa (jeszcze zaborczego!). Podczas pobytu na froncie został ranny i mógł powrócić do domu, gdzie czekała wspaniała wiadomość o narodzinach syna u brata Feliksa i jego żony Heleny. Było to 27 marca 1915 roku. Chłopiec otrzymał imię po zmarłym braciszku – Marianek. Był zdrowy i silny, a jego rodzice wprost nie posiadali się z radości.

Te spokojne chwile zostały jednak przerwane złą wieścią. Rosjanie szykowali się do nowej (drugiej) inwazji na ziemie Galicji i w ogóle całego cesarstwa. Dla Feliksa [zdjęcie Feliksa z I wojny światowej] nie było już żadnej rady, musiał iść do wojska, czy chciał czy nie. A Helenka? Nakazał on żonie przed swoim wyjazdem, aby jak najszybciej opuściła Tłumacz. Ona posłuchała męża i wraz z synkiem oraz rodziną (rodzicami i rodzeństwem) wyjechała do Drohobycza.

W tym samym czasie także babcia Joanna z synem Józefem, podobnie jak większość mieszkańców postanowili opuścić miasto, a udali się na Węgry. Prawdopodobnie do rodziny, o której wiadomo tylko tyle, że w naszej krwi płynie pewien procent krwi węgierskiej.

Całą ojcowiznę, jaka miała pozostać dla syna Józia babcia Joanna spisała na straty, gdyż ceniła sobie bardziej życie. W domu pozostała jedynie stara, głuchoniema służąca, która wolała umrzeć tutaj, gdzie spędziła całe życie niż gdzieś na obczyźnie. Tymczasem ... Minęły dwa długie lata. Zewsząd poczęli zjeżdżać do swych domów wojenni uciekinierzy. Kiedy babcia Joasia i Józef stanęli przed swoim, nie wierzyli własnym

oczom. Wszystko było takie same jak przed odejściem. W progu powitała ich służąca, która ze wzruszeniem obcałowała dłonie pani. Okazało się, że to właśnie ta kobieta ocaliła dobytek Bilińskich. Codziennie obchodziła dookoła zagrody, a gdy Moskale próbowali coś ukraść, naskakiwała na nich z widłami. W kilka dni później po powrocie babci Joanny, stara służąca zmarła. Widocznie czekała już tylko na powrót swych chlebodawców, z którymi była związana przez kilkadziesiąt lat, aby im wszystko zdać.

Inaczej było z synową Joanny, Heleną (moją prababcią), która po powrocie do domu zastała zgliszcza. Opisałem to w moim poprzednim artykule (I kwartał 2001 r.).

Wkrótce powrócił także Feliks i wspólnymi siłami „odbili się od dna". Odbudowali wszystko z powojennych gruzów.

Około roku 1919 zmarła babcia małego Mariana – Joanna. Była ostatnią w rodzinie Bilińskich „z tamtego" pokolenia. Jako jedyna doczekała się odrodzenia Polski, z takim rozrzewnieniem wspominanej przez przodków.

Józef, brat Feliksa, długo się trzymał swojego kawalerstwa, aż do dnia, w którym zobaczył Klementynę Zagórską z Nadorożnej, uczącą się w tłumackiej szkole. Zakochał się w niej bez pamięci i w 1925 roku wzięli ślub. Cała rodzina tak się z tego cieszyła, że wesele przeciągnęło się na dwa tygodnie. Najpierw w Nadorożnej, potem u Józefa w domostwie po ojcu, a nawet u brata Feliksa w jego zagrodzie. Józiowi i Klimci narodziły się dzieci: Lusia, Irenka, Krysia i upragniony syn, Czesław.

Od dnia odzyskania niepodległości nastąpiło dwadzieścia spokojnych lat. Mój pradziadek, Feliks Biliński, podobnie jak jego przodek, Wojciech, starał się aktywnie uczestniczyć w życiu tłumackiej społeczności. Pełnił funkcję radnego w gminie oraz członka rady nadzorczej w Kasie Stefczyka.

W tym czasie dzieci obydwu braci, Feliksa i Józefa, chodziły już do szkół. Te dwie, a jednak jedna rodzina, były dobrze znane współczesnym mieszkańcom Tłumacza. Wkrótce miało się okazać, że były to dwa ostatnie pokolenia, jakie tam mieszkały. W 1939 r. rozpętała się II wojna światowa. Dzięki Bogu jednak Bilińscy ją przetrwali. Szczególnie zaś mój śp. dziadek, Marian Biliński, który po niezwykłych przeżyciach wojennych powrócił do Polski w 1947 r. (Pisałem o jego losach w Z.T. 1/2000, cykl Sagi rodzinne – „Ludzkie ścieżki"). Niestety przymusowy wyjazd rozdzielił ich i rozrzucił w różne części Polski. Na szczęście rodzinny kontakt się nie urwał, ale nie był on taki jak w Tłumaczu. Mógłbym zaryzykować stwierdzenie, że to ja, dzięki moim zainteresowaniom, odnowiłem go, umacniając więzi rodzinne. Dbamy teraz o nie wspólnie. A skoro już o tym mowa... Warto by jeszcze wspomnieć, że w Tłumaczu oprócz potomków Wojciecha Bilińskiego, było jeszcze kilka innych rodzin Bilińskich. Niektóre z nich były niewątpliwie z nami spokrewnione, ale zapewne w dalszych pokoleniach, co spróbuję w przyszłości udokumentować

Z powojennych losów naszej rodziny należy jedynie powiedzieć o rozwoju naszego drzewa genealogicznego, które rozrosło się o dwa pokolenia do przodu: Marian Masztalerz ożeniony z Janiną pozostawił dwóch synów: Bogdana i Józefa, z których ten pierwszy ma już swoje dzieci, zrodzone z Heleny z d. Czajkowskiej, czyli mnie – Adama (autora tego tekstu) i mojego brata Łukasza. W Koszalinie zaś Czesław, syn Józefa, po ożenku z Alicją Klamecką dał życie synowi Filipowi. Te osoby są najmłodszymi generacjami w naszej genealogii rodzinnej. Miejmy nadzieję, że nie ostatnimi.

Ta praca jest wynikiem moich ponadtrzyletnich poszukiwań, które jeszcze trwają i będą trwać, póki nie odnajdę wszystkiego, co do odkrycia jeszcze zostało! Chciałbym przez nią jak najbardziej związać się z historią i kulturą naszego polskiego narodu i trwać przy niej.

Naszą najcenniejszą pamiątką jest herb, który został mi powierzony wg starej zasady „seniores priores" (starsi mają pierwszeństwo), przestrzeganej od początku w naszej rodzinie. Lecz nie jest to tylko dobro materialne, kawałek starego papieru, ale fragment żywej historii naszego rodu. Wiedząc, że dotykały go ręce najstarszych znanych przodków, jestem świadomy, iż ten dokument to łącznik pomiędzy nimi a nami. Stanowi on także związek z tradycją I Rzeczypospolitej, która przecież istniała jeszcze w tym czasie oraz z drugą, odrodzoną i znów utraconą. To, że urodziłem się w Polsce zachodniej, na Dolnym Śląsku, nie znaczy, że kocham ten teren bardziej i jestem mocniej do niego przywiązany niż do byłych Kresów Wschodnich. Z nimi bowiem jest spleciona prawie cała historia naszej familii, dlatego nigdy o nich nie zapomnę i nie pogodzę się z ich utratą!

Herb „Sas"

Z życia Tłumaczan

Listy z Izraela
Przez „Zeszyty Tłumackie" do Izraela

W roku 1997 odwiedziłam Tłumacz – miasto – gniazdo rodzinne Szankowskich. Wrażenia opisałam w liście do redakcji „Z. T." w 1997 r. Odnalazł mnie dzięki Wam przyjaciel mojej rodziny, dawny mieszkaniec Tłumacza. Od Was otrzymał mój adres i napisał z Izraela, a właściwie ze Szwajcarii, gdzie spędzał lato. Tak zapoczątkowała się nasza korespondencyjna znajomość. Potem były telefony, wymiana fotografii i zaproszenie do przyjazdu. Nie wahałam się – to optymalny czas w życiu. Obowiązki zawodowe już poza mną, dysponuję sama sobą.

W czerwcu 2000 r. poleciałam z Warszawy przez Pragę, gdzie omal mnie nie zatrzymała przesadna służbistka – Czeszka z kontroli paszportowej. Sądziła, że jestem kandydatką na emigrantkę. Na szczęście sprawa się wyjaśniła i poleciałam do Tel-Avivu bez przeszkód. Tel-Aviw w nocy przedstawia niezwykły widok. Rozliczne sznureczki, podwójne kolorowych światełek wzdłuż dróg, reszta tonie w ciemnościach nocy, prócz rozjarzonych ważnych obiektów. W drodze rozmowy po polsku – tak, tak!

Port Lotniczy Ben Guriona – szybka odprawa, pomaga mi młoda Mołdawianka, która wraca tu z Toronto, a mam dużą torbę i oberwany uchwyt przy dodatkowej plastikowej „reklamówce".

Rozległa sala, w której stoją grupy oczekujących. Rozglądam się za wysoką postacią oczekującego mnie Karola. NIE MA GO!

Zbudzony w nocy przez Czechów nie obudził się na czas. Nietrudno wyobrazić sobie, co przeżywałam sama w obcym kraju z dużym bagażem na wózku. Przyleciałam na rok. Punkt informacyjny dzwoni do domu – nikt nie odbiera telefonu. Wezwania przez megafon bez efektu. Na pół usypiając chodzę pchając wózek. Nie oddalam się od informacji. Nareszcie JEST! Szczupły, wysoki, starszy pan w czapeczce firmowej Deimlera (tj. ostatnie miejsce jego wieloletniej pracy Deimler-Benz). Powitanie i jedziemy do domu jego autem, do Ramat-Ganu.

Ramat-Gan = Ogrodowy Pagórek, wcześniej oddzielne miasto, obecnie zrośnięty z Tel-Aviwem = Wzgórze Wiosny. Ładne są tu nazwy miast. Istotnie poza głównymi ulicami z zabudową miejską wielokondygnacyjną są dwie dzielnice domów w ogrodach oraz skwer, mini parki. Wszędzie rosną drzewa, kwitnące krzewy, a rabaty uzupełniają bogatą zieleń. Bogata zieleń „kipi" też z balkonów, tarasów wiszących donic i pojemników. Ceramika, garncarstwo jest tu b. bogata i chętnie umieszczana przy budynkach u wejścia, w ogrodach i miejscach publicznych.

Ta bogata zieleń w tutejszym klimacie (około pół roku bezustannie świeci słońce i grzeje mocno) wymaga nawadniania. System rur podziemnych daje wodę drzewom.

Kwietniki są wyposażone w rureczki biegnące wśród roślin. Z dziurek płynie woda rano. Trawniki są zraszane porozmieszczanymi na nich obrotowymi spryskiwaczami. Dla ludności w mieście i w parkach są „poidełka" z doprowadzoną wodą. Uruchamiane przyciskiem. Na ścianach budynków spotyka się umywalki z kranami. Woda, woda, łaknie się jej, gdy jest gorąco.

Klimatyzacja jest w sklepach, urzędach, w domach. Wsiada się do klimatyzowanych autobusów. Ale po zejściu ze stopnia pojazdu wkracza się w upał... i chętnie wchodzi do najbliższego sklepu, gdzie czatują na klienta. Nie kupując przegląda się towary i trzeba iść dalej, by znów gdzieś ochłonąć we wnętrzu klimatyzowanym. Wszędzie, przez cały dzień jest dużo ludzi. Słyszy się często język polski, częściej rosyjski, dominuje hebrajski oczywiście.

Ruch jest ogromny. Wśród licznych samochodów przemykają na motorach i skuterach „kaskaderzy" (tak ich nazywam wobec zręczności przeciskania się pomiędzy autami) obojga płci.

Żydzi są dobrymi kierowcami. Spostrzegawczy, z dobrym refleksem. Toteż nie ma wielu wypadków czy stłuczek. Takie są po kilku miesiącach moje spostrzeżenia. Nie widziałam też jeszcze sytuacji, gdy kierowcy głośno „pouczają się" lub wygrażają sobie w razie uchybienia zasadom ruchu. Piesi też chodzą uważnie i nie spiesząc się. Prawie nie widzi się ludzi podbiegających np. do autobusu. Kierowca czeka. Dla osób starszych zatrzyma się nawet poza przystankiem. W ogóle ludzie poruszają się bez przesadnego pośpiechu, godnie. Ubierają się praktycznie, bez uderzającej elegancji. Zresztą wybitnie ubrani poruszają się na pewno tylko samochodami.

Młode osoby w porze ciepłej są mocno roznegliżowane zgodnie z obecnymi tendencjami mody. Widzi się dużo czerni.

Kobiety religijne noszą specyficzne, głębokie kapelusze, okrywające głowę i kark. Nie zdejmują ich w urzędach, czy sklepach, gdzie pracują. **Kornelia Szankowska** *(c.d.n.)*

Komunikat

Każdego roku w ostatnią niedzielę lipca (obecnie wypada 29.) Tłumaczanie pielgrzymują do swojego obrazu z Tłumacza „Św. Anny Samotrzeciej" w Siedlakowicach. Zawiadamiamy, że nabożeństwo odpustowe odbędzie się o godz. 13.00. Spodziewamy się licznego udziału koleżanek i kolegów. Dojazd z Wrocławia PKS – kierunek Świdnica przez Gniechowice. Zarząd

Wykaz darczyńców za II kw. 2001 r. (w zł)

1. Józefa Prymakowska, N. Sól 40.–
2. Wincenty Kłonowski, Trzciń Zdrój 12.–
3. Zdzisław Kłonowski, Gryfino 12.–
4. Wanda Fedorowicz Świrzewska, USA 42.–
5. Zygmunt Boniowski, Kraków 62.–
6. Józef Burczyński, K. Góra 12.–
7. Janina Kubica, Warszawa 22.–
8. Jan Majdański, Anglia 5,50
9. Jerzy Czyżycki, Wrocław 12.–
10. Romualda Króliczek, R. Śląska 12.–
11. Władysław Mazur, Warszawa 12.–
12. Zygmunt Burczyński, Marszów 12.–
13. Maria Byra, Oleszna 2.–
14. Irena Ruszel, Paszowice 12.–
15. Władysław Geruła, Wrocław 12.–
16. Janina Pactwa, Gdańsk 30.–
17. Anastazja Białkowska, Gdańsk 70.–
18. Tłumaczanie, Kołobrzeg 19.–
19. Rudolf Woroszczuk, Brzeg 62.–

† ODESZLI

Odszedł kapłan Tłumaczanin – Śp. Ks. Prałat Czesław Tuzinkiewicz

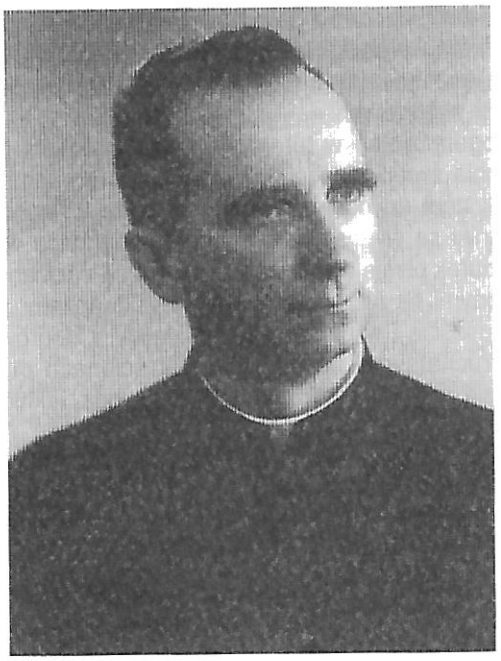

Dnia 13 kwietnia 2001 r., w 67 roku kapłaństwa odszedł po nagrodę do Pana

Ksiądz Prałat,
magister teologii
Czesław Tuzinkiewicz

Urodzony 09. 06. 1908 r. w Tłumaczu. Wyświęcony na kapłana 24. 06. 1934 r. we Lwowie. Były wikariusz i katecheta w Sokolnikach (1934-1936), proboszcz w Białochorszczach k. Lwowa (1936-1945) i katecheta we Lwowie (1936-1939). Proboszcz w Siedlęcinie (1946-1951), Sobieszowie (1951-54) i we Wrocławiu w parafii pw. Świętego Stanisława, Wacława i Doroty (1954-1986). Przez wiele lat pełnił funkcję dziekana dekanatu Wrocław Śródmieście i sędziego prosynodalnego w Kurii Metropolitalnej Wrocławskiej. W latach 1986-1999) będąc w stanie spoczynku przebywał przy parafii św. Stanisława, Doroty i Wacława we Wrocławiu jako rezydent. Ze względu na stan zdrowia, ostatnie lata swego życia przeżył w Domu Księży Emerytów im. bł. papieża Jana XXIII we Wrocławiu. Pogrzeb zmarłego Księdza odbył się 19. 04. 2001 r. na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu. Jego grób znajduje się w najbliższym sąsiedztwie Pomnika Orląt Lwowskich.

W uroczystościach pogrzebowych oprócz rodziny uczestniczyło liczne duchowieństwo i tłumy parafian. Wśród żegnających nie zabrakło również byłych mieszkańców Tłumacza - rodzinnego miasta Kapłana. Z wielkim żalem żegnaliśmy ks. Prałata, który do ostatnich dni utrzymywał kontakt z członkami Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan. Z zainteresowaniem czytywał Zeszyty Tłumackie, a my chętnie korzystaliśmy z Jego obrazowych wspomnień o naszym mieście.

Będzie brakowało nam Jego duchowej opieki.

Tłumaczanie

Charakterystyka duchowości kapłaństwa ks. Prałata Cz. Tuzinkiewicza wyraża się w Jego wstępnych słowach do testamentu, który napisał 26. 06. 1984 r. *„Dziękuję Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu za wszelkie łaski i dary w ciągu mojego grzesznego życia otrzymane, a szczególnie za łaskę Wiary Świętej i Kapłaństwa Chrystusowego. Dziękuję tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do osiągnięcia przeze mnie tej łaski. Przede wszystkim składam dziękczynienie i uwielbienie Matce Najświętszej Nieustającej Pomocy, która przez całe życie okazywała mi swoją macierzyńską miłość, stałą opiekę. Zawsze była ze mną, przy mnie i nigdy nie odmówiła mi łask, o które dla siebie lub innych prosiłem.*

Dziękuję moim rodzicom za chrześcijańskie wychowanie i za dobry przykład. Niech Im Bóg to wymagrodzi w niebie. Dziękuję wszystkim moim przełożonym i wychowawcom za dobro od nich otrzymane. Dziękuję księżom biskupom za Ich życzliwość i wyrozumiałość przez cały okres mojego duszpasterzowania w Parafiach. Przepraszam z całego serca wszystkich moich Przełożonych, Współbraci Kapłanów, Parafian i krewnych za moje nietakty i zgorszenia, za wyrządzone przykrości. Nade wszystkoo przepraszam Pana Boga, Najlepszego Ojca w niebie za wszystkie moje grzechy: (tu następuje spowiedź powszechna).

A potem jeszcze podziękowanie wszystkim księżom współpracownikom, a wśród nich więcej uwagi poświęca niżej podpisanemu i wydaje dyspozycje dla mnie po ewentualnej śmierci. Nie czynię tego, bo pewnie po tym testamencie musiał być napisany drugi , o którym jeszcze nie wiem i nie chcę wiedzieć."

Co ja osobiście sądzę i czuję? Przede wszystkim to, że w swej posłudze kapłańskiej ciągle wracał do źródła swej służby, to znaczy do Chrystusa, który mówił: „nie przyszedłem, aby mi służono ... aby służyć". I przez to był i pozostał zawsze aktualny i wyprzedzał wszystkie tzw. autorytety. Odszedł dzięki temu od kapłańskiego feudalizmu, którego tak dużo jeszcze jest w Kościele, chociaż sam siebie szanował, dbał o swoją godność, ale nigdy nie poniżył tzw. „człowieka maluczkiego". To też wypływało z postawy Chrystusowej i maryjnej: „... Pani, w ofierze Tobie dzisiaj składam wszystko, czym jestem, wszystko, co posiadam..." To było Jego nie tylko motto na obrazku, ale cała dewiza życia. Wspominał mi, że kiedyś jako 6-letni chłopiec składał voto przy obrazie Maryi w rodzinnym Tłumaczu Te dwie „Nadprzyrodzone Ręce" – Chrystus i Jego Matka podnoszą i uświęcają całe Jego Życie młodzieńcze, seminaryjne, duszpasterskie. Stąd wypływała wrażliwość na potrzeby wszystkich ludzi, stąd postawa Służby.

Do tej postawy włączyłbym także ostatnie lata życia, kiedy dodatkowe cierpienia spadły na ks. Prałata. To była ostatnia droga krzyżowa, zakończona w Wielki Piątek. Odczytuje to osobiście, jako klamrę spinającą kapłaństwo: Wielki Czwartek – jego ustanowienie, a Wielki Piątek dopełnienie w męce, śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa i tych wszystkich, którzy w Niego wierzą.

Nie będę więcej pisał, bo każde następne słowo byłoby wobec tej tajemnicy banałem. Jestem przekonany, że Bóg Wszechmogący, przed którym stanął, wynagrodził mu miarą kochającego Ojca.

Ks. W. Wawrzonek

Spis treści

175 rocznica śmierci Franciszka Karpińskiego. Polsko-ukraińskie uroczystości obchodzono w Stanisławowie, Kołomyi i Otyni

260 rocznica urodzin Franciszka Karpińskiego 1

Nasz wieki Krajan – Ks. Lesław Jeżowski 1

I Wspomnienia z I wojny światowej

Przygody wojenne artylerzysty – kowala z Jezierzan (c.d.) – Mieczysław Zdanowicz 3

II Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Powrót (c.d.) – Franciszek Petrus 6

„O moich latach gimnazjalnych w Tłumaczu" (cz. I) – Marian Haraszkiewicz 7

III Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

W stepie – Janina Sokołowska-Kubica 9

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.) 11

„Album Pałahickie" Henryka Rodakowskiego (c.d.) 12

IV Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża

Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski 17

List do Redakcji od Tadeusza Pelikana 18

V Sagi rodzinne

Moje korzenie, moja tożsamość – Adam Biliński 19

VI Z życia Tłumaczan

Listy z Izraela. List 1-szy: Przez „Zeszyty Tłumackie" do Izraela – Kornelia Szankowska 23

Komunikat 23

Wykaz darczyńców za II kw. 2001 r (w zł) 23

VII Odeszli

Odszedł kapłan Tłumaczanin – Śp. Ks. Prałat Czesław Tuzinkiewicz – Ks. W. Wawrzonek 24

Wspólne wczasy (Kołobrzeg 1-14. 06. 2001) – Anna Tomyn-Jasińska 26

Redaguje zespół w składzie: Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna: Franciszek Borkowski

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Wspólne wczasy

(Kołobrzeg 1-14. 06. 2001)

Anna Tomyn-Jasińska

Tegoroczne spotkanie Tłumaczan w Kołobrzegu odbyło się w ośrodku wczasowym przy przy ul. Arciszewskiego, do którego, z wyjątkiem, ubiegłego roku (remont), przyjeżdżamy od lat. Z wyboru tego miejsca wszyscy byli zadowoleni, gdyż przyzwyczailiśmy się i polubiliśmy ten zakątek leżący już na obrzeżu miasta, w sąsiedztwie wsi Grzybowo.

Ośrodek nasz usytuowany jest w pięknym pasie leśnym, tuż nad brzegiem morza. Pełna harmonii przyroda, jaka otacza ten teren: las, zieleń, cisza, odgłosy ptasiej serenady i szum morza stwarzają nastrój beztroskiej swobody i warunki do dobrego wypoczynku. Czasem do ogrodzenia podchodziły małe dziczki z matką, dopraszając się pokarmu, a zabłąkana sarenka przebiegła między domkami. Tylko do lasu trudno bez obawy się wypuścić, gdyż strefę leśną opanowały chmary komarów.

Domki po remoncie z pełnym wyposażeniem, wygodnymi łazienkami zadowoliły wszystkich. Opieka kierownictwa bez zastrzeżeń.

Obiady, jak zawsze domowe, smaczne, trzydaniowe z możliwością wyboru wspaniałych ruskich pierogów ze skwarkami.

Do świetlicy uczęszczano na ciekawsze audycje telewizyjne, na wspólne śpiewy i pogaduszki.

Nasze spotkanie kołobrzeskie miało charakter rekreacyjno-koleżeński. Uczestniczyły w nim 43 osoby dorosłe i 4. wnucząt uczestników. Chociaż pogoda nie była dla nas łaskawa, to jednak nie zakłóciła naszego wypoczynku i dobrych nastrojów. Niektórzy chodzili rano na długie przechadzki brzegiem morza. Spacerowano po leśnych dróżkach, chodzono do miasta po zakupy, zwiedzano je i spacerowano po molo.

Najmilsze jednak były odwiedziny i gościny towarzyskie w domkach i wieczorne spotkania na wspólnych śpiewach. Ton tym śpiewom nadawała nasza „Diva" swoim czystym sopranem, chórek zasilał jedyny bas przy akompaniamencie gry na grzebieniu i lasko-flecie, dostarczając nam tym widokiem wiele powodu do śmiechu. Dzięki „fortepianowi" Zdzisia Kłonowskiego mogliśmy słuchać nagrań piosenek o tematyce kresowej i harcerskiej. Jak zawsze podobały się ballady w wykonaniu Nusi Panachidy.

Dodatkową atrakcją były występy naszej „Estrady" - czyli Irenki Pełech-Ruszel, która tym razem miała wspaniałego „Impresaria" w osobie Czesia Lanera. Oboje tworzyli uzupełniający się duet, który wspaniale nas wszystkich bawił. Podziwialiśmy bogactwo toalet, jakie specjalnie na występy przywiozła ze sobą Irena. Ciężki miała bagaż myśląc o nas, więc dziękujemy jej za to.

Dnia 8 czerwca bawiliśmy się przy ognisku, śpiewając już wyuczone i wyćwiczone piosenki z repertuaru naszych młodzieńczych lat. Ognisko przygotowali „wespół-zespół" Zdzisiu Kłonowski, czyli „Fortepian" i zawsze chętny do pomocy kierownik ośrodka. Ogień strzelał wysoko w górę unosząc stare słowa piosenek daleko na morskie fale. Szybko rozprawiliśmy się ze smaczną grochówką, by później na długich kijach piec kiełbaski. Nasze apetyty ostudził nagły ulewny deszcz. Młodsi schronili się pod parascle i „pod strzechę", a starsi co tchu popędzili do domków. Dzielnie przetrwaliśmy tę nawałnicę i znów zajęliśmy miejsca wokół ogniska, a nasz śpiew wywołał z domków dezerterów i niektórzy z nich powrócili do śpiewającego grona. Zadowoleni i rozbawieni dopiero o zmroku wróciliśmy do siebie. W tych radosnych chwilach żałowaliśmy, że inni nie mogli być z nami. Zapewne różne były przyczyny, które spowodowały ich nieobecność. Dlatego też wysłaliśmy do nich z Kołobrzegu ponad 100 kart pocztowych z pozdrowieniami. Napisaniem takiej ilości korespondencji zajęły się koleżanki: Elżbieta, Krystyna i Nusia.

Uczestnicy spotkania starali się sobie nawzajem umilić ten wspólnie spędzony czas, podtrzymując przyjaciół na duchu i troszcząc się wzajemnie o swoje zdrowie. Część z nas chętnie korzystała z dobrodziejstwa elektromagnetycznego łóżka, Viofor-JPS, które przywiozła ze sobą Danusia Tabińska-Juhasz. Po kilkunastominutowym seansie wstawało się z łóżka w pełni zrelaksowanym.

Na tegoroczny zjazd przybyło czworo uczestników ostatniej przedwojennej matury w gimnazjum tłumackim. Byli to: Anastazja Białkowska-Bogucka, Janina Białkowska-Pactwa, Józef Czohara, Irena Pełech-Ruszel. Wspomniana matura odbyła się 20 maja 1939 r. Egzamin dojrzałości złożyły wówczas 34 osoby - byli wśród nich zarówno Polacy jak i Ukraińcy oraz Żydzi. Był to piękny egzamin tolerancyjnego współżycia różnych narodowości i obrządków religijnych. Absolwentka tego wydarzenia, Irenka Pełech-Ruszel obecnie „stypendystka" ZUS-u, przywiozła pamiątkowe zdjęcie maturalne. Na tym zdjęciu mogliśmy rozpoznać młode twarze uczestników naszego zjazdu, którzy pomimo upływu czasu nadal wyglądają świetnie i odznaczają się pogodą ducha i radością życia (patrz zdjęcia).

W deszczowe niedzielne popołudnie oglądaliśmy z wideokasety żałobne nabożeństwo ekumeniczne w Czerwonogrodzie koło Zaleszczyk za Polaków pomordowanych przez banderowców. Nastrój refleksyjnej zadumy przerwał dopiero następny film ze spotkania noworocznego.

W bieżącym roku skończyła się kadencja Zarządu Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan. W związku z tym 7. 06. 2001 r. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze.

Na wstępie prezes Zygmunt Burczyński po powitaniu zebranych poprosił o uczczenie minutą ciszy tych Tłumaczan, którzy odeszli z naszego grona w okresie kadencji ostatniego Zarządu. Odczytał listę aż trzydziestuparu osób, w tym zmarłych w ostatnim roku: Józef Lechowicz, Helena Zagórska-Piotrowicz, Stanisław Jakowenka, Bronisława Bilińska-Nieckowska, ks. Czesław Tuzinkiewicz, Antonina Czohara-Sawicka.

Z głębokim żalem pochyliły się siwe głowy Tłumaczan - będziemy się za Nich modlić jeszcze w czasie specjalnie zamówionej przez nas mszy św. w tutejszym kościele.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze prowadził sprawnie Józef Duszyński, mąż Janeczki Petrus. Zgło-

sił on propozycję, aby do grona Tłumaczan przyjąć wieloletnich sympatyków naszego Towarzystwa, pomimo że nie są Tłumaczanami. W jawnym głosowaniu nowymi członkami zostali: Elżbieta Niewolska, Janina Stybel, Zofia Ruszkiewicz, Maria Laner i Władysław Mazur.

Następnie prezes Oddziału, kol. Zygmunt Burczyński złożył sprawozdanie z działalności Zarządu z minionej czteroletniej kadencji. Sprawozdania złożyli również: Skarbnik, Przewodniczący Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego. W czasie dyskusji nad sprawozdaniami oceny były bardzo pozytywne. Na wniosek przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Władysława Geruły, zebrani udzielili absolutorium ustępującemu Zarządowi.

Przystąpiono do wyboru nowych władz.

W jawnym głosowaniu wybrano nowy Zarząd Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan w następującym składzie:

Zarząd:
prezes - Zygmunt Burczyński
vice - Danuta Tabińska-Juhasz
sekretarz - Jerzy Czyżycki
skarbnik - Anna Bocheńska
członkowie - Krystyna Marciniak
Janina Stybel
Zofia Ruszkiewicz
Elżbieta Niewolska
komisja rewizyjna:
przewodniczący - Władysław Geruła
zastępca - Jadwiga Królikowska
członkowie - Helena Bilińska
Anna Jasińska
sąd koleżeński:
przewodniczący - Jan Johnson
zastępca - Włodzimierz Tomyn
członkowie - Maria Sapa
Czesława Kałuża
delegaci na Zjazd TMLiKPW:
Zygmunt Burczyński
Jerzy Czyżycki

Nowym władzom życzyliśmy dalszej zgodnej współpracy, aby nas wszystkich jak dotąd satysfakcjonowała, zadowalała i integrowała. Dziękowaliśmy red. nacz. Danusi Tabińskiej-Juhasz i całemu zespołowi redakcyjnemu ZT za pracę w redagowaniu „Zeszytów". Na zakończenie Władysław Tomyn przewodniczący Komisji Uchwał i Wniosków przedstawił propozycje czterech uchwał:

1. Wydawać w dalszym ciągu kwartalnik „Zeszyty Tłumackie"
2. W miarę możliwości udzielać pomocy uczniom polskich klas w Stanisławowie.
3. Ufundować tablicę pamiątkową ku czci pomordowanych Polaków w pow. tłumackim przez OUN UPA i umieścić ją w kościele św. Stanisława i Doroty we Wrocławiu, gdzie znajdują się już dwie nasze tablice pamiątkowe.
4. Utrzymywać tradycję organizowania dorocznych zjazdów w Kołobrzegu, opłatka we Wrocławiu i odpustu św. Anny w Siedlakowicach.

Zebrani jednogłośnie i z dużym aplauzem przyjęli treść ww. uchwał.

Czas mijał szybko. W trzynastym dniu naszego pobytu w ośrodku zostaliśmy zaproszeni przez kierownika ośrodka na pożegnalną kolację. Przygotowani odpowiednio „tekstylnie" wkroczyliśmy do stołówki i ... sami konsumowaliśmy podany poczęstunek. Odczucia były bardzo różne z różnych przyczyn. Ktoś zauważył - przecież dziś trzynasty! Ponieważ trudno było się nam rozstać, więc ponownie spotkaliśmy się po kolacji przy „nektarowych napitkach". Śpiewaliśmy pięknie, opowiadane kawały wywoływały salwy śmiechu, a dyskotekowa muzyka porwała do tańca 60- 70-latków do tańca i ... tańczyliśmy.

14 czerwca uczestniczyliśmy w Mszy św. w kościele pw. Św. Krzyża odprawionej w intencji uczestników Zjazdu, za wszystkich członków Oddziału oraz za tych, którzy ostatnio od nas odeszli.

I to już był ostatni dzień naszego wspólnego wczasowania. Jeszcze jak zawsze wzruszające pożegnania i rozstania się z cichą nadzieją, że spotkamy się wkrótce może na odpuście w Siedlakowicach, może na „opłatku", a może za rok w Kołobrzegu. Może dostaniemy z „Niebios Bram" prolongatę albo, jak to się teraz modnie mówi, „promocję" na zrealizowanie naszych zamierzeń i marzeń.

Opis zdjęcia ze str. 28

I rząd od dołu, od lewej: Grzegorz Sikacz – Ukrainiec, Sławka Sahajdak – Ukrainka, Michał Nyszczuk – Ukrainiec;
II rząd od lewej: Tadeusz Matusów, Olga Komanowska, Antonina Płomińska, Anna Mierzwińska, Ksawery Bułkowski – Dyrektor Gimnazjum , Marian Mierzwiński – Profesor-wychowawca, Irena Pełech, Krystyna Chrzanowska, Stefania Mańkowska, Józef Czohara;
III rząd od lewej: Albert Stachiewicz, Jakub Delmarz – Żyd, Henryka Herman – Żydówka, Włodzimierz Czapliński – Ukrainiec, Anastazja Białkowska, Jadwiga Matejko, Janina Białkowska, Janina Urbaniak, Karol Kronberg – Żyd;
IV rząd od lewej: Raja Rosenmann – Żydówka, Józefa Bilińska, Mirosława Słotarska, Stefania Piotrowicz;
V rząd od lewej: Kazimierz Kowalski, Zbigniew Kwiecień, Edwin Misiecki, Bogusław Herman – Żyd, Leonard Mandyna, Orest Było – Ukrainiec, Jarosław Zahadajko – Ukrainiec, Mirosław Michalewicz, Tadeusz Hoffman

Ostatni maturzyści Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu – matura 20.05.1939 r. (ze zbiorów Ireny Pełech-Ruszel)

Absolwentki Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu – matura 20.05.1939 r.
Od lewej: Irena Pełech-Ruszel, J. Białkowska-Pactwa, Józefa Bilińska-Agopsowicz, Ada Słotarska-Marcinkowska.
Kołobrzeg, czerwiec 2000 r.

Nowo wybrany Zarząd: od lewej: D. Tabińska-Juhasz – vice prezes, Z. Burczyński – prezes, K. Bojczuk-Marciniak – członek, E. Bocheńska-Niewolska – członek, J. Czyżycki – sekretarz, Z. Stybel – członek, Z. Ruszkiewicz – członek, A. Panachida-Bocheńska – skarbnik

POLSKA POLITYCZNA

Opr. E. ROMER i J. WĄSOWICZ

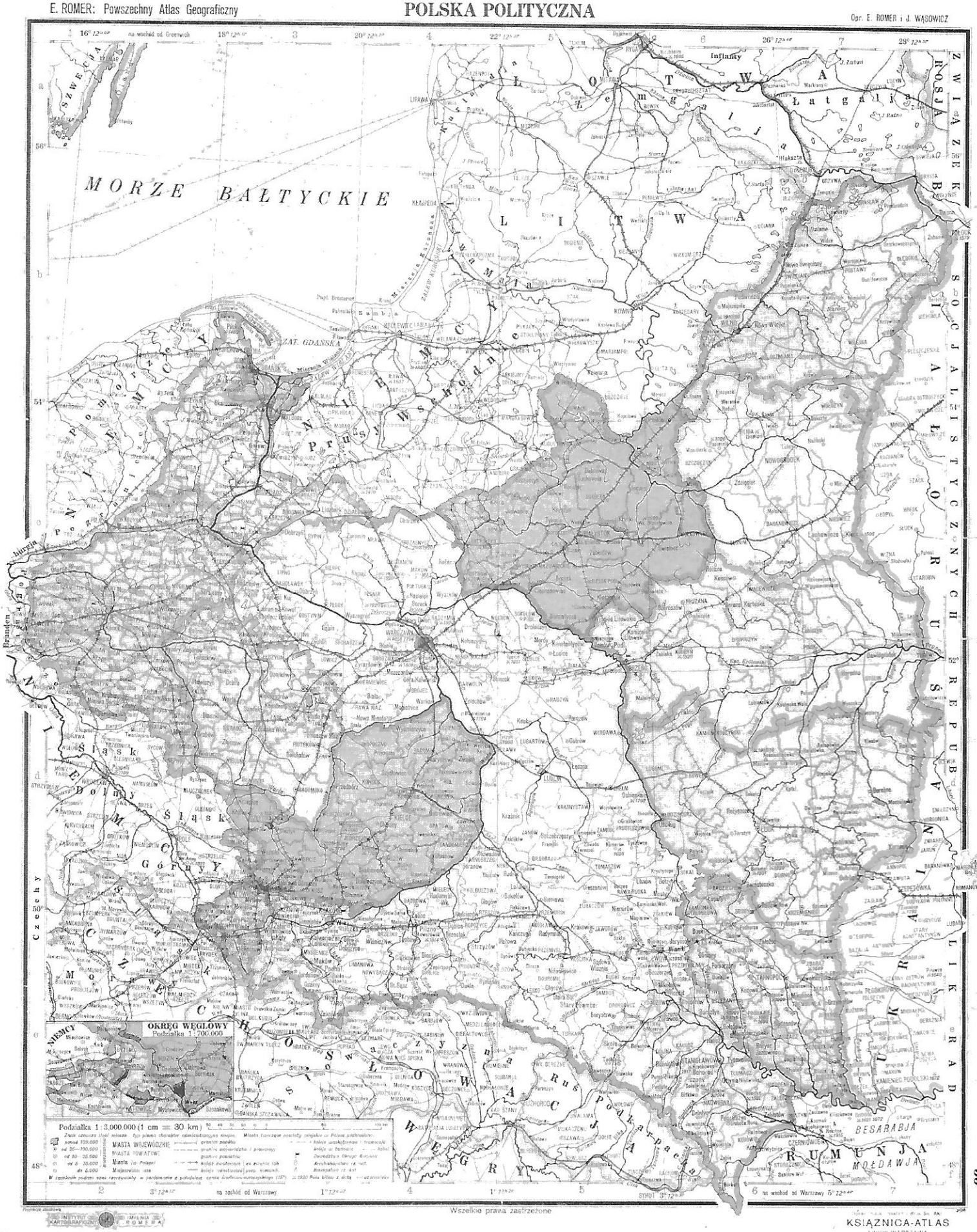

Wszelkie prawa zastrzeżone

INSTYTUT KARTOGRAFICZNY IMIENIA E. ROMERA
KSIĄŻNICA-ATLAS
LWÓW WARSZAWA